

redakcja // ida brożek, weronika janeczko (redaktor naczelna),
łukasz kraj, aleksandra kucharska, zuzanna sala, marcin świętkowski
korekta // aleksandra drewniak, aneta sarnowska
opracowanie graficzne // aleksandra ćwikowska
skład i makietka // aleksandra drewniak
druk // drukarnia rafael
wydawca // fundacja kontent
berka joselewicza 9/12, 31-051 kraków
regon 36829091000000, nip 6762536110

spis treści. spis treści. spis

od redakcji 5

zestawy // 7

maciej taranek 8

komentarz // lukasz żurek 14

radosław jurczak 19

komentarz // paweł kaczmarski 25

michał koza 29

komentarz // sonia nowacka 35

tłumaczenia // 44

marta mochnacka 43

komentarz // joanna sobesto 50

onewierszstandy // 55

alicja dusza 56

komentarz // adam pietryga 58

klaudia pieszczoł 65

komentarz // idka brożek 67

maciej libich 70

postprus // julia czajska 72

agata jabłońska 74

komentarz // przemysław rojek 76

michał kózka 81

komentarz // maciej libich 83

proza // 86

laura grad 87

komentarz //adam partyka 106

presila grzymek 109

komentarz // monika ochędowska 124

od redakcji

Koniec roku to czas podsumowań, zakończeń, snucia planów na nadchodzące miesiące. Koniec 2019 budzi jeszcze intensywniejsze emocje – jesteśmy bowiem w przededniu lat dwudziestych. Nam, jako redakcji KONTENTU, w ostatnich latach udało się zaproponować odrobinę inny (niż funkcjonujący do tej pory w czasopiśmie literackich) model lektury pojedynczego wiersza, natomiast w kończącym się roku zrobiliśmy kolejny krok naprzód i wydaliśmy dwie książki poetyckie. Dziś przedstawiamy bardzo szczupły, ale jednocześnie wart wnikliwej lektury, jedenasty numer KONTENTU, zachęcamy do wgrzeźnienia się w te frazy i jednocześnie mamy nadzieję, że spotkamy się gdzieś na w poetyckim świecie w latach dwudziestych XXI wieku.

w imieniu redakcji
Zuzanna Sala

zestawy. zestawy. zestawy. zestawy

maciej taranek

Maciej Taranek.

śmiecie

na przystanku stoi starsza kobieta,
która zamiast ręki, trzyma reklamówkę
(za rękę), na której widnieje napis „smyk”.
i to, że są jednorazowe też nam o czymś mówi.

*Pierwotnie publikowany w biuletynie „Zbiór Pusty” (Korporacja
Ha!art, 2013), tutaj wersja nowa – poprawiona.*

pogodynka

wiązanie niczym skrzenie, upleść rozmowę w znaczenie. idzie
rorschach,
idzie tysiąc zbrojnych w pełnym słońcu, skrzyło tysiąc w pełnym
słońcu.
idzie barwny pochód w ruchome święto, szczerza obietnica w kar-
nawale piwnic.
ach, gdyby barwić im ten pochód, pełnić im za słońce. ach, gdyby
odebrać im głos
od twarzy, wyłożyć materiał drogą i uruchomić im to święto. jeśli
serce to szczur.

Publikowany na stronie „Radykalny Słownik” (Internet, 2017), wisi.

boom #6

nie dałem bana, kiedy donald trump
wydał oświadczenie, że zdradza rożawę.
nie dałem bana, kiedy recep erdogan
wydał rozkaz, że zbombarduje rożawę.
nie dałem bana, więc trwa ta rzeź jebana.

Publikowany na Facebooku na moim wallu (Internet, 2019), wisi.

Trzy przypuszczenia dotyczące trzech wierszy Macieja Taranka // Łukasz Żurek

Coś się dzieje w wierszu Macieja Taranka. Prezentowany w „KONTENCIE” zestaw trzech tekstów oraz rozsiane po internecie fragmenty przygotowywanego poematu *Impresariat* pozwalają przypuszczać, że obecnie poezja Taranka znajduje się już w nieco innym miejscu niż w 2014 r., kiedy to debiutanckie *repetitorium* narobiło sporego szumu w krajowej krytyce literackiej. Jako komentarz do zestawu proponuję więc kilka wychwyconych przeze mnie (potencjalnych) tropów wskazujących na (możliwe) przesunięcia w Tarankowym wierszu. Czas pokaże, na ile to krytyczno-literackie wróżbiarstwo okaże się trafne.

Intensywność?

Na początek trop najbardziej kłopotliwy, taki, o którym najmniej można powiedzieć. Jakub Skurtys, opisując niedawno na łamach „Nowego Napisu” znaczenie *repetitorium* dla młodej poezji, zauważył, że jedną z charakterystycznych cech wiersza Taranka jest:

ujęcie języka na pograniczu stylów, między autonomią kodu i lirycznym wyznaniem, osiągającym czasem sentymentalną wręcz nadwrażliwość i niebywałą intensywność emocjonalną¹.

Dotychczas opublikowane fragmenty poematu *Impresariat*, rozpięte między wizyjnymi, konceptualnymi obrazami krążącymi wokół figur rodziców² a zglitchowanymi szumami à la *Abre-*

1. J. Skurtys, *Poetyckie debiuty dekady #6* [wypowiedź nt. *repetitorium* Taranka], <https://nowynapis.eu/tygodnik/nr-18/artykul/poetyckie-debiuty-dekady/>.

2. <https://www.biuroliterackie.pl/biblioteka/utwory/impresariat/>.

wiatura Pułki³, świadczą o tym, że pewien rodzaj intensywności emocjonalnej wciąż Taranka interesuje. Te intuicje potwierdza również zamieszony w „Kontentowym” zestawie wiersz *pogodynka*, pobrzmiwający dotąd niewidocznymi u Taranka inspiracjami. Niestety, *pogodynka* to najmniej interesujący wiersz z całego zestawu, raczej pusty przebieg obrazów, w którym uwagę przykuwają jedynie doskonałe otwarcie (o którym więcej za chwilę) i doskonałe zamknięcie („jeśli serce to szczur”). Podobne odczucia towarzyszyły mi przy lekturze fragmentu *Impresariatu* opublikowanego na łamach „Wizji” – z niezbyt ciekawego nawiązania do poetyki „wiersza dezinformatywnego” na pierwszy plan wybijało się świetne, klarowne zakończenie:

wejść w głąb ślepego oka kamery i opowiedzieć o tym, co się widziało.

wejść w głąb ślepego oka kamery i opowiedzieć o tym, czego się nie widziało:

czego szukasz ręko przeczesująca włosy?

spałeś kiedyś na ulicy? ja nie spałem, nie mogłem zasnąć.

Być może *pogodynka*, jako element większej całości kompozycyjnej, gra znacznie lepiej niż w odosobnieniu. Wydaje mi się jednak, że w dwóch innych wierszach z zestawu „nadwrażliwość” zauważona przez Skurtysa rozwija się w znacznie ciekawszych kierunkach niż wówczas, gdy Taranek – mówiąc skrótowo – łapie fazę⁴.

3. Zob. m.in. <http://magazynwizje.pl/maciej-taranek-wiersze/>.

4. Zwłaszcza jeśli porównamy Tarankowe pomysły na rozregulowywanie wiersza z tym, w jak ciekawy sposób radzą sobie z tym zadaniem *Robodramy w zieleniakach* Patryka Kosendy.

Od pętli do wiązania?

Sam przelot przez historię pętli we współczesnej polskiej poezji tworzy opowieść o stopniowym wyczerpywaniu się twórczej, poznawczej siły tej figury. Gry i zabawy rondem u Andrzeja Sosnowskiego (*Oceany*) czy Marcina Senddeckiego (*Dni kultury karpackiej*); opukiwanie tematu od strony cyfrowo-papierowej przez warszawskich neolingwistów; generatory Łukasza Podgórnego oraz jego *noce i pętle*; wielki przystanek pt. „Tomasz Pułka”; rozwijające intuicje Pułki *repetytorium*, dzięki chomikowi o imieniu „rata” pętla łączy się z krytyką współczesności; arcyciekawe rozwinięcie figury w *Pamięci zewnętrznej* Jurczaka; niezbyt ciekawe powtórzenie w *Hejcie i innych bangerach* Justyny Kulikowskiej; *Nekrotrip* Piotra Jemioły, gdzie pętla służy już wyłącznie pozbawieniu języka znaczenia lub nazwaniu sytuacji zamknięcia.

W opublikowanym zestawie wierszy Taranka praktycznie brak kompozycyjnych zapętleń oraz pętli jako tematu (wywoływanego chociażby przez medytację nad strukturą „się”). Prowizoryczna genealogia tej figury oraz fakt, iż dotychczas stanowiła ona dla Taranka podstawę w myśleniu o podmiotowości, o relacji między wierszem, światem a przestrzenią cyfrową, sprawiają, że ta nieobecność zyskuje na znaczeniu. Wydaje się, że zamiast zapętleń i powtórzeń Taranka interesuje znacznie bardziej niż wcześniej tworzenie splotów, zamiast zataczania różnicujących kółek lub doprowadzania wiersza do momentu zwielokrotnionej samo zwrotności – powiązanie „czegoś” z „czymś”⁵. *Za quasi* manifest przejścia od pętli do wiązania można uznać początek wiersza *pogodynka*:

wiązanie niczym skrzywienie, upleść rozmowę w znaczenie

5. W żadnym razie nie sugeruję, że „pętla = solipsystyczne zamknięcie”, a „wiązanie, splot = społeczne otwarcie”. Czytelnicy chcący mnie przyłapać na takim prostackim wybiegu proszeni są o wyjście.

Znacznie pełniej jednak wyraża je wiersz *śmiecie*⁶, którego ostatni wers („i to, że są jednorazowe też nam o czymś mówi”) osadza scenkę z życia w kontekście kapitalistycznych wartości negatywnych. Taranek w dość brutalny sposób pokazuje, że dla nieludzkiego systemu starsza kobieta jest tym samym co reklamówka: rzeczą, która po odegraniu swojej roli może zostać wyrzucona. Ważne jest tutaj także bezceremonialne użycie liczby mnogiej, raczej rzadkiej u Taranka, a momentalnie zbliżającej czytelnickę do wiersza, do odpowiedzi na pytanie „o czym **nam** mówi ta jednorazowość?”. Czy to nie przypadkiem rozwinięcie myśli z przedmowy do *repetitorium* („zrobiłem ruch, teraz twoja kolej”)?: Tak, ale inaczej sfunkcjonalizowane, konkretniejsze.

Przemontowywanie boomu?

Wrażenie, że Taranek obecnie korzysta z charakterystycznych dla siebie chwytów w nieco inny sposób niż wcześniej towarzyszy także lekturze *boom #6*⁷. W pierwszych czterech utworach z cyklu⁸ autor skupiał się na zarysowywaniu pęknięcia między perspektywą kogoś, kto „gra w grę” lub układa klocki Lego a zamachami terrorystycznymi, które zawsze mają miejsce gdzie indziej, zawsze są oglądane przez filtr mediów. Nieprzystawalność obu porządków Taranek podkreślał za każdym razem tą samą strukturą składniową,

6. Co prawda wiersz *śmiecie* nie jest wierszem nowym. Został bowiem opublikowany – w nieco innej wersji – w 2013 r. w biuletynie *Zbiór pusty*. Taranek umieszcza jednak ten wiersz w zbiorze nowszych tekstów, co pokazuje, że zależy mu na włączeniu go w nowy kontekst odbioru.

7. Wiersz, pierwotnie opublikowany na Facebooku Taranka, został następnie przedrukowany w antologii wierszy *Biji Rojava* pod redakcją Anny Adamowicz, Jakuba Pszoniaka i Patrycji Sikory: https://issuu.com/bijirojava/docs/biji_rojava_antologia_wierszy_2019.

8. Trzy znalazły się w *repetitorium*, czwarty i piąty zostały zaś opublikowane na portalu Radykalny Słón: <http://radykalnyslon.org/na-moment-przed-rozwiazaniem/>.

co przy każdym kolejnym powtórzeniu *de facto* komplikowało „pęknięcie” przedstawianej sytuacji:

grałem na pegasusie, kiedy eksplodowały
dwa pociągi na madryckiej stacji atocha (boom #2)
układałem klocki lego, kiedy wybuchały
bomby w londyńskim metrze linii piccadilly (boom #3)

Boom #5 napisany wspólnie z Tomaszem Bąkiem po zakończeniu oblężenia Aleppo rozpoczął się podobnie, ale jednocześnie zupełnie inaczej – od zarysowania nieokreślonego „ty”, wcześniej nieobecnego w pokoju bohatera grającego na Pegazusie:

byłem z tobą w aleppo, kiedy weszło
w życie porozumienie o zawieszeniu broni. (boom #5)

Z przynajmniej dwóch powodów *boom #6* to kolejny krok w rozszerzaniu formuły cyklu, tego, co może w niej powiedzieć Taranek. Po pierwsze, wiersz jest świetną krytyką aseptycznego języka międzynarodowej dyplomacji, który decyzje o zabijaniu ludzi ubiera w nieznoszące sprzeciwu, urzędnicze formuły. *Boom #5* również ciążył w tę stronę, jednak dopiero w „szóstce” Tarankowi rzecz udaje się nadwyraz dobrze.

Otóż każde z użycie języka umów, traktatów i oświadczeń zostaje zbite przez właściwą część zdania, w którym się znalazło:

nie dałem bana, kiedy donald trump
wydał oświadczenie, że zdradza rożawę.
nie dałem bana, kiedy recep erdogan
wydał rozkaz, że zbombarduje rożawę.

Taranek zwraca więc uwagę na ten wymiar decyzji Trumpa i Erdogana, którego ukrycie jest w interesie zarówno Stanów Zjednoczonych, jak i Turcji – tym samym po raz pierwszy używa charakterystycznej struktury wierszy z cyklu w tak jasnym celu.

Po drugie, bohater *boom #6* koncentruje się na (niedokonanym) działaniu o nieco innym charakterze niż układanie klocków Lego czy granie w *Pokemon Go*. Przez banowanie Tarankowy bohater z zakopanego w retro grach piwniczaka może na chwilę stać się internetowym aktywistą, próbującym powstrzymać przejawy ksenofobii czy wszelkiej agresji słownej za pomocą kilku kliknięć. Taką wykładnię komplikuje jednak ostatni wers:

nie dałem bana, więc trwa ta rzeź jebana

Nawet najwięksi zwolennicy usuwania mowy nienawiści z internetu (w tym: twittów Trumpa) nie podejrzewaliby, że jeden ban mniej lub więcej może wpłynąć na los tysięcy obywateli Rożawy. Zauważenie absurdalności sugerowanego przez spójnik związku przyczynowo-skutkowego między „nie dałem bana” a atakiem na Rożawę komplikuje interpretację działania, którego nie podejmuje bohater – okazuje się ono być podobnie puste jak gry i zabawy z wcześniejszych części cyklu. Niedookreślone „banowanie” jako metafora tworzenia wokół siebie przestrzeni wolnej od wszystkiego, z czym się nie zgadzamy lub co sprawia nam przykrość, byłoby zatem jeszcze jednym sposobem na odcięcie się bohatera *boomu* od rzeczywistości. *Boom #6* jest więc również krytyką liberalnej narracji o wpływie jednostkowych działań na świat („segregując śmieci ratujesz planetę”), ale krytyką empatyczną wobec tych nieskutecznych „gestów”. Spójnik *więc*, nawet po obnażeniu jego naiwności, zachowuje bowiem siłę o tyle, o ile służy za alegorię związków między mikro- a makrostrukturami oraz impuls do niezgody na to, co jest.

Niewykluczone, że Taranek nie napisze już więcej części cyklu *boom*. Bynajmniej nie oznacza to, że robota wykonana w jego jak dotąd ostatniej części pójdzie na marne. Rozszerzanie formuły *boomu* to zarazem komplikowanie splotu tematyki pokoleniowo-polityczno-medialnej. Zacieram ręce na myśl o tym, co dalej zrobi z nią Taranek.

Łukasz Żurek (ur. 1991) – filolog, krytyk literacki. Mieszka w Warszawie.

radosław jurczak

(ur. 1995) – poeta. Laureat XXI OKP im. J. Bierzina. Debiutował tomem *Pamięć zewnętrzna* (2016), za który otrzymał Nagrodę Poetycką Silesius. Studiuje filozofię i informatykę (MISH UW); zajmuje się pograniczem filozofii umysłu i etyki. Łomianczanin.

[z cyklu *Pornhub Elegies*]

1. [mówi kamera internetowa Petera Scully'ego]

Nie z takich jesteś, słoneczko, materiałów,
nie na taki obiektyw, gładki, nietłukący,
najniewinniejszy w środku; nie po takich drózkach
miałaś przyjść za rączkę nie do takiej sali,
nie przed taki obiektyw: gładkie, nietłukące
oczko okoliczności, najwydrążniejsze w środku.

(nie z takich jesteś, słoneczko, materiałów:
najniewinniejszy w środku – gdy zajrzysz do środka,

jaki ze środeczka spojrzy obiektywik,
gładki czy stłuczony? w jaki powidoczek?

mroczki, jak przy omdleniu
w samym sercu słońca:
nie na taki obiektyw, gładki, nietłukący)

[z cyklu *Przyszłość*]

[3] Elon Musk odznacza kolonistów

dla Janka Rojewskiego

Którzy będą handlować wodą i rudą krzemu,
męscy i archaiczni jak gaz ziemny i złoto,
na drobnej czerwonej kropce stłoczeni jak w sercu pożaru,

złapani w obiektyw jak w sondę i przesyłani na Ziemię
jak próbki marsjańskiej skały, czekają w równym szeregu.
Którzy będą handlować wodą i rudą krzemu,

obdarzani kredytem posłusznym i rozłożystym
jak para skrzydeł lub żagiel, pewniejszym i większym od Ziemi,
na małej czerwonej kropce zamknięci jak w oku pożaru,

wynagradzani hajsiewem mnogim jak galaktyki,
czekają w równym szeregu słuchając świergotu dronów,
męscy i archaiczni. Jak gaz ziemny i złoto

od dawna nieznani na Ziemi: nazwiska jak rasy zwierząt
wymarłych przed stuleciem, twarze jak z pierwszej konkwisty,
na zimnej czerwonej kropce zmieszane jak w oku pożaru.

Noszący broń i dolary, czekają w równym szeregu
którzy będą handlować wodą i rudą krzemu:
męscy i archaiczni jak gaz ziemny i złoto,
na drobnej czerwonej kropce stłoczeni jak w sercu pożaru.

[z cyklu *Przyszłość*]

**[5] W koloniach ukazuje się pierwsze
pozaziemskie wydanie *Leaves of Grass***

I sing the body electric,
The armies of those I love engirth me
and I engirth them [...].
And if those who defile the living are
as bad as those who defile the dead?

Walt Whitman

Jak dzieci kasujące historię przeglądania
zanim wrócą rodzice, genom po genomie,

spisywaliśmy pełne w miarę opróżniania:
liście zielone i żółte, pustułki i czarny bez;

(czekają na nas przedmioty;
dzień; elektryczność ciała;

cichy, bezradny plastik:
smutne, odporne zwierzątko)

[z cyklu *Przyszłość*]

[6] Cena wody w koloniach po raz pierwszy przekracza 100\$ za baryłkę

potrafisz pomyśleć o wodzie jak o siódmym przypadku,
spokojnym i nieużywanym, zawsze na końcu języka?

[z cyklu *Jedenaście hymnów dla smutnych żab*]

/biz/

Kursie bitcoina, jaskółko, zgubiona komórko pamięci,
jakież cię niosą pragnienia, a jaka popycha cię dłoń?

jaskółko, kursie bitcoina, półprzepuszczalna membranko
między monetą a dłonią, pomiędzy czyje życzenie

a czyją zakradniesz się wiarę? nieistniejąca jaskółko,
jakież wymyślą cię oczy, a jakie cię cyfry oplotą,

oblepią piórka jak mazut? komu, najślepszemu płamko,
pragnienie, a komu wodę? w jakie uwierzysz nam dłonie,

kursie bitcoina, jaskółko, zgubiona komórko pamięci?

Rubieże i cinkciarze // Paweł Kaczmarski

Pytanie o to, co łączy nowe wiersze Radosława Jurczaka, wydaje się pozornie nie mieć prostej – i jednocześnie satysfakcjonującej – odpowiedzi. Oczywiście, wyczuwamy w nim zbieżności brzmieniowe, tonalne czy nawet (groźne słowo) afektywne, nastrojowe: lekkość głosu skrywającą autentyczną powagę (a nawet grozę), melodyjność niosącą poczucie zagrożenia. Tę łączność trudno jednak przyszpilić i jasno nazwać. We wszystkich utworach widzimy też rytmiczną staranność, formalną precyzję, a jednocześnie wyraźne elementy narracyjnego toku: to miniopowieści, zawarte czy to w serii pięciu pytań (*/biz/*), czy w ramach złamanej vilanelli (*Elon Musk odznacza kolonistów*). Od razu wyłapujemy jednocześnie wspólne tematyczne mianowniki: charakterystyczny dla Jurczaka *deep dive* w kwestie tzw. nowych mediów, rozwoju technologicznego i jego wpływu na ludzką percepcję. Ale oparcie się na tak rozumianej łączności byłoby przecież tanim i ostatecznie mało produktywnym rozwiązaniem.

Czy to wszystko? Oczywiście nie, na szczęście jest coś jeszcze; coś, czego spostrzeżenie może wymagać kilku podejść, ale co – raz spostrzeżone – wydaje się trudną do przegapienia oczywistością. Nowe wiersze Jurczaka dotyczą przecież w całości obszarów nadgranicznych, rubieży – anglojęzycznych frontiers – czy to bardziej, czy mniej metaforycznych. Ich obrazy widzimy tu na każdym kroku. Wśród tych bardziej dosłownych: kosmiczne kolonie (*final frontier*), Whitman jako poeta zafascynowany amerykańskimi pionierami. Wśród tych nieco mniej literalnych: Elon Musk jako samozwańczy pionier tysiąca technologii; rzekoma radykalna nowość blockchainu; darkweb, w którym swój biznes rodem z horroru rozkręcił Peter Scully. No i wreszcie *nadgraniczność* zupełnie metaforyczna: woda, źródło życia, jako „siódmy przypadek [...] zawsze na końcu języka”; ślepe plamki, membrany, obiektywy; pionierskość

samego Whitmana; trudne do zrozumienia, wyobrażenia sobie, przyjęcia do wiadomości zbrodnie australijskiego pedofila.

Czy chodzi o to, że Jurczaka fascynuje sama granica? Nie, nie do końca. To znaczy – jasne, zapewne fascynuje – ale kogoś dziś nie fascynuje, po lekcjach Language, Nowojorczyków, historycznej awangardy etc. etc.? Zainteresowania poety są tu bardziej precyzyjne: wydaje się pociągać go właśnie nadgraniczność, teren, na którym granica wypada (z konieczności bądź przypadkiem), obszar po obu stronach granicy. Ziemia poza Ziemią; pieniądz po pieniądzu; seksualność (i pornografia) poza tym, co dopuszczalne czy nawet do pomyślenia. Zewnętrzność tego, co wewnętrzne (outsourcing pamięci z debiutanckiej książki). Nie tyle więc nawet przejście, co wychylenie – zaglądnienie na drugą stronę, zastanowienie nad tym, co z „tu” obecne jest też „tam” (i na odwrót). Krytyczna obróbka łączności zamiast transgresji i prowokacji (choć to, co Jurczak przedstawia nam jako fragmentu cyklu „Pornhub Elegies”, w pewnym sensie jest bardzo prowokacyjne). Nic więc dziwnego, że poetę zdaje się interesować nawet nie utopia bądź dystopia, co przyszłość jako taka: przyszłość ludzkiej wspólnoty, technologii, eksploracji, zasobów, waluty. W centrum pojawia się Elon Musk: krętacz o usposobieniu rzutkiego cinkciarza, figura najbardziej zdałoby się zgrana i łatwa do przejrzania – beznadziejnie *dzisiejsza, tutejsza* – która jednak została (w międzyczasie? przypadkiem?) ikoną nowości, postępu, kosmicznych ambicji (po) nowoczesnego człowieka.

Czy to znaczy, że Jurczaka interesują społecznie chwytliwe iluzje? Trochę tak – o ile są to właśnie iluzje granicy. Iluzja neutralności obiektywu w [*mówi kamera internetowa Petera Scully'ego*]. Iluzja faktycznej nowości nowych światów, możliwości nowego otwarcia, gdy w pozaziemskich koloniach „cena wody w koloniach po raz pierwszy przekracza 100\$ za baryłkę”. Żłudność pieniądza – kredyt „posłuszny i rozłożysty”, waluta wymyślona”

przez „oczy” – a może raczej iluzoryczność jego iluzoryczności, złudzenie, że jego przejrzenie i przemyślenie jest samo z siebie emancypujące. Spekulacja nie znika dlatego, że ją wyartykułujemy – Jurczak zdaje się tu rozumieć jednoczesną moc i bezradność słowa – odrobił w końcu, jak wiemy choćby z jego debiutanckiej książki, lekcję Pounda.

Czy w tym kontekście dziwić może, że autor *Pamięci zewnętrznej* z taką łatwością wchodzi na grunt poezji spekulatywnej (bo tak zwykło się nazywać poezję otwarcie przyznającą się do SF, sci-fi i – szerzej – do fantastyki w ogóle)? Zgoda, Jurczak wszedłby naturalnie w każdy niemal gatunek, niemal każdą konwencję – z charakterystyczną dla siebie przenikliwością, filozoficznym przygotowaniem, warsztatem, językowym wyczuciem etc. – ale tu chodzi chyba jednak o kwestie bardziej zasadnicze. Spekulacja za pomocą wiersza narusza jakieś niepisane literackie tabu, nawet gdy chodzi o spekulację w sensie testowania fantazji – musi być jakiś powód, dla którego w polszczyźnie obieg poetycki i obieg fantastyczny są tak mocno i od tak dawna rozdzielone. Jurczak, jak się zdaje, wyczuł to tabu i nie mógł pozostawić go nienaruszonym. Wiersz, który spekuluje, chociaż nie w sensie tej spekulacji – taki, który odwołuje się nie tyle do obrazów i narracji aktualnych, co do takich, o których sądzi, że aktualne staną się w niedługiej przyszłości; wiersz, który stawia na rzeczywistość dopiero nadchodzącą, testuje, próbuje i nie boi się zakładów – musi tego konkretnego autora odruchowo niemal pociągać.

Czy można w ramach założonej tu formuły krótkiego, spontanicznego komentarza o wierszach Jurczaka powiedzieć coś jeszcze? Chyba tylko tyle, że są jeszcze lepsze i jeszcze ciekawsze niż te pomieszczone w debiutanckiej (już przecież znakomitej) książce; że stanowią jej przedłużenie, ale przedłużenie świadome, wychylone ku czemuś nowemu. Jurczak jeszcze przez dobre dwie książki mógłby odcinać kupony od *Pamięci zewnętrznej* jako

tomu brawurowego i bez mała przełomowego – nie robi tego jednak, chętnie bada inne języki, inne przestrzenie. Łapie też – to spostrzeżenie będę musiał pozostawić na etapie ogólnej intuicji – jeszcze trafniej niż dotąd pewien nastrój momentu historycznego, niepokój rodzący się na pograniczu powszechnej prekaryzacji i poczucia przesilenia. Dalsze komentarze wymagałyby wielu kolejnych stron – tutaj więc może się zatrzymajmy – podkreślając tylko, że na niewiele książek (nie tylko poetyckich) warto czekać w równym stopniu, co na drugą książkę Jurczaka.

Paweł Kaczmarek — krytyk literacki. Mieszka we Wrocławiu. (Współ)redaguje „8. Arkusz”, dodatek młodopoezycki do miesięcznika „Odra”. Redaktor afiliowany „Praktyki Teoretycznej”. Redaktor naczelny magazynu „Przerzutnia”.

michał koza

(ur. 1987) — doktorant literaturoznawstwa na Wydziale Polonistyki UJ, członek zespołu Krakowa Miasta Literatury UNESCO, poeta, krytyk i nauczyciel akademicki. Publikował wiersze w „Stonerze Polskim”, „Helikopterze” i „Dwutygodniku”, finalista Połowy 2019. Stypendysta Fulbrighta, żeglarz memów, pisze i tańczy.

Broadway

sałatka na schodach do metra
o którą niemal wypierdolił się mormon
papieros kiedyś być może wsunięty za ucho albo
zręcznie pstryknięty w noc na zapomnienie
pety zasiedlające wszystkie chodniki
rączka od parasola a przy niej
ogryzek sznurówki saszetka szczoteczka
przy wylocie wentylacji kapeć
krzesło bez trzech nóg drzewiec na chodniku panda
z superbohaterskim znakiem zaś na krawężniku
widać jeszcze kilka pustych setek masztów nocy

dalej czapka i kurtka pana żuła najwyraźniej
zaszło tu niejedno wniebowstąpienie
odłamek kubka
słuchawki z
oderwanym kablem łamigłówka strzykawek
puste opakowanie po ibuprofenie
i torebka dunkin donuts

Long Island

miarą utrzęsioną odmierzaj się i płyn pomnażaj rzeko
przepoczwórzajcie się SUVy trzystukonne mocarne
i ręce hybrydy chatki niczego sobie sterczące pionki
Monopole z drzewami ciosane od trawnika równo
zatrzymane w pół drogi za ścieżką
ciemno wyściełaną a sterylą
trawniki zraszacze goniące w piętękę tańcem derwisza pływicie

pryskają więc raczej frywolnie gdy pomimo pomykasz krawęż-
nikiem
nadepniesz czasem na kawałek lądu obiecanej ziemi
teren zabudowany tam wiatr od oceanu
podsycą lont wierci w nosie gardenii fort
pączkujące w multiplikowane okolice ganki bezokolicznikowe
przytulnie nieruchome sąsiedztwo wypełnia szczelnie
i szczerze granice jeden do jednego
ułożone eksponencjalnie uregulowane soki
spływają suto pluszczą miękko pod obuwiem

białe domki domki białe domki takie letnie
zadumane stoją nie wiedząc czy na tych drzwiach
znalazłoby się miejsce dla Jacka
było miejsce dla Jacka

Hudson Yards

oczy połowicznie już sklezione o piątej nad ranem
wspinają się z wrodzonym wścibstwem lubieżnie
prześlizgują się po żebrach z brązu między szczeliny włożą
wstrzykują mikrodawki odblasków wpatrują się w mewy
z elegancją korygujące lot
wokoło dźwięk jakże miarowy tętent sneakersów step
dżoggerów zapach rozgrzewającego się betonu
wiatr na to wszystko dmucha

akurat
w tym momencie czekam na autobus ale czy jeśli w innym
spróbuję czegoś dokazać na przykład wbiec na samą górę
choćby i po dłuższym treningu *mindfulness* i dopiero za trzecim
razem
czy to w końcu
będzie jakaś sztuka albo chociaż miła odmiana losu
jeśli wespnę się tam między żebra wetknę palec jak w ranę spojrzę
zatoczę obejmę
to właściwie co

gołębiu najlepszy skrzydłowy mój i centrze mego życia ty
poradź mi brachu druhu choćby skinieniem dzióbka swego

o
małej wiary spójrz
na ten chleb na szyi jak myślisz
czy to już gruby
skok na bank czy z piętra
zaprawdę zaprawdę wiedz bowiem że czasem upadamy
innym razem nie podnosimy się wcale
kombinuj
gru-gru

Good Friday

Buffalo

kiedy to wyszedłem na stację po piwko Founders
all day wyziewy ulicy omiatają kartony i czochrają koty
małe życie stoi przed domem
jako wystawka gratów z kwiaciarni czy nieskończone
rzędy plastikowych donic zapychające regularnie kosz na odpady
s e g r e g o w a l n e
miętoszę słowo w głowie

gdzie tu sprawiedliwość
deszcz na łeb mogę dostać z góry tuż pode mną krata
w ulicy niewygodna do jazdy rowerem
w którą zagląda gagatek różek pudełka po pizzy

a skądże mi teraz ten sos
w głowie czosnek choć przecież zdrowy do tego
Beyoncé i happy three friends z uporem
sponsorują dzień w którym
Jezus umarł bym ja mógł dostać na komunię rower

Wspomożenie mniejsze

Pocałunek na plecy
czuły i miękki jak koci grzbiet
na zdjęciu niejasna część równania $t =$
instant ramen czułości płynący
od ciebie strumień elektronów który trafia celnie
i przypomina nagle

Amerykański sen na stacji Broadway // **Sonia Nowacka**

Poetyckie zapisy podróży za ocean nasuwają szeregi skojarzeń. Składają się na nie przynajmniej dwa czynniki, z jednej strony dwudziestowieczny etos emigracyjny, z drugiej utrwalony w kulturze (i choć wielokrotnie skompromitowany, wciąż silnie obecny) etos amerykańskiego snu – z jego wielkimi narracjami o możliwości lepszego życia. Michał Koza podejmuje grę z literackimi obrazami Stanów Zjednoczonych, wchodzi w dialog z narracjami o amerykańskim śnie, potędze i rozpaczliwych próbach ucieczki ku lepszemu życiu, ukazując je jako zbiór podróźnych klisz, impresji.

To, co w jakiś sposób charakteryzuje teksty, które znalazły się w tym dość przemyślanym zestawie, to z jednej strony nawiązanie do cech charakterystycznych dla spojrzenia turystycznego; z drugiej nieustanna, krytyczna uważność. Spojrzenie turystyczne w wierszach Kozy wiązałoby się przede wszystkim ze szczególnym wyostreniem zmysłów podmiotu na hierarchię i symboliczność elementów przestrzeni; zwróceniem uwagi na miejsca powszechnie znane i obecne w przekazach kulturowych. Podmiot prowadzi dość linearną narrację wokół kolejnych miejsc, do których przybywa. Opisuje je dość uważnie, dlatego jeśli jest turystą, to jest turystą świadomym nie tylko topografii miasta, ale przede wszystkim związanego z nim kapitału symbolicznego.

Podmiot nie popada w zachwyty nad wytworami ludzkiej pracy, nie patrzy w górę, by podziwiać ogromne konstrukcje, jego wzrok skupia się na tym, co wokół niego, co leży na ziemi, co zostało odrzucone, co odstaje od tych symboli luksusu, co pozostaje niezauważane. Pomiędzy przestrzeniami kojarzonymi z elitarnością, do której aspirować miałyby reszta społeczeństwa (Koza eksponuje tu Broadway, ale przede wszystkim Hudson Yards i Long Island), przeplatają się mikrohistorie symbolizowane przez korporacyjnie

wytwarzane przedmioty codziennego użytku, mające ułatwić przetrwanie w świecie, w którym niemal każdy pozostaje wtłoczony w mechanizmy produkcji i konsumpcji (porzucone jedzenie *take away* na schodach do metra, zniszczone słuchawki, odłamek kubka, opakowanie po ibuprofenie). Przypadkowe posiłki, niedbałość o gadzety, dobra zgubione w pośpiechu lub wyrzucone ze względu na słabą wytrzymałość, podatność na zniszczenia, pojawiają się w tych wierszach jako przedmioty poetyckiego namysłu nad codziennością, pokazując tym samym, jak działa system. Otrzymujemy w tych tekstach obraz świata, w którym każdy nadmiar, który przestaje służyć konkretnym celom, zamienia się w balast, którego należy się natychmiast, w dowolnym miejscu, pozbyć, by utrzymać tempo w drodze po zawodowy sukces i życiowe spełnienie.

Broadway, wiersz otwierający zestaw, ukazuje stację metra, usytuowaną w pobliżu kompleksu najważniejszych teatrów Nowego Jorku. Koza buduje tekst na zasadzie kontrastu – jedno z najszerzej obecnych w świadomości kulturowej miejsc Manhattanu przedstawia jako zaniedbane, pełne dóbr zgubionych w pędzie lub zwyczajnie wyrzuconych. Ogrom miasta i prędkość, kształt i forma tego spektaklu, w którym skala prestiżu reprezentatywnych budynków wzrasta proporcjonalnie do skali ubóstwa, staje się głównym tematem obserwacji podmiotu.

Śmieci, porzucone przedmioty (kurtka bezdomnego i sałatka na wynos, opakowania po lekach, krzesło bez nogi, porwane słuchawki, sznurowadła, strzykawki) leżące na podłogach stacji metra, zwracają uwagę na skalę społecznego rozwarstwienia i nierówności. Warto zauważyć, że spojrzenie na detale i elementy leżące na ziemi, w kolejnych tekstach rozszerza się u Kozy ku perspektywie horyzontalnej (*Long Island*) i wertykalnej (*Hudson Yards*).

Tekst *Long Island* rozpoczyna autor niemal biblijną frazą: „miarą utrzęsioną odmierzaj się i płyn pomnażaj rzeko”. W tym tekście wydaje się, że pobrzmiewają również nawiązania do poetyki

wykształconej na przestrzeni ostatnich książek Kacpra Bartczaka, który również przedstawia fasadowość i sztuczność religijnego języka względem rzeczywistości. Jak chociażby we frazie: *przepoczwórzajcie się SUVy trzystukonne mocarne* (Koza) i *opiaty konsubstancje | twierdźcie się [...] owiane organizmy upojne | obiata własną wziewne* (Bartczak, *Pokarm Suweren*).

Tekst o Hudson Yards stanowi z kolei bardzo płynne rozwinięcie zaznaczonych przez podmiot problemów. Przypomnijmy, że Hudson Yards to najdroższa prywatna inwestycja deweloperska w historii, której pierwsza część została oddana do użytku w marcu 2019 roku. Biurowce, apartamenty i potężne centrum handlowe, na które składają się luksusowe marki, będące wyznacznikiem prestiżu i luksusu, to główne znaki rozpoznawcze nowego kompleksu w Nowym Jorku. Zastosowany w wierszu porządek werdykalny zostaje uzyskany poprzez opis monumentalnej budowli – wzrok podmiotu, stojącego na przystanku autobusowym, prześlizguje się „lubieżnie” po ażurowej konstrukcji. Całemu obrazowi towarzyszy szelest sneakersów i step joggerów pochodzący najpewniej od osób, które mogą korzystać z dóbr, oferowanych w centrum i wpisują się w profil klienta swoim statusem i pozycją. Podmiot obserwuje budynki z ulicy: „spróbuję czegoś dokazać na przykład wbiec na samą górę | choćby i po dłuższym treningu mindfulness i dopiero za trzecim razem [...] będzie jakaś sztuka albo chociaż miła odmiana losu”.

Mimo spojrzenia szerokiego, zmysły podmiotu jak i jego sposób narracji wyostwiają się, skupiają na detalach, co mogłoby wskazywać na subwersywne wykorzystanie mechanizmu praktyki uważności. Koza wprost odwołuje się do konsekwencji nurtu *mindfulness*, który miał swój początek w USA w latach 70. jako metoda psychoterapeutyczna, a w latach 90. został częściowo przejęty przez coaching, a wreszcie wdrożony w korporacyjnych szkoleniach i kursach motywacyjnych dla pracowników (takie praktyki rozpoczęte zostały m.in. przez Monsanto). Podmiot

w wierszach Kozy pomimo tego, że ostatecznie krytycznie odnosi się do komercyjnego oblicza techniki *mindfulness*, przechwytuje jej elementy, czyniąc z niej poetycki użytek (ważne będą tutaj szczegółowe opisy, detale, wprowadzenie pojedynczych przedmiotów, skupienie na elementach będących jedynie niewielką częścią miejskiej panoramy). Koza wykorzystuje mechanizm uważności, który zamiast tonu kontemplacyjnego, wprowadza poczucie przytłoczenia, potęguje wrażenie kontrastów i różnic, co szczególnie widoczne staje się dzięki optyce (układ wertykalny-horyzontalny) i skali (detal-panorama).

Mindfulness w tekstach Kozy jawi się jako praktyka sprzedawana ludziom zapracowanym i zabieganym, której codzienne praktywanie rozwiąże wszystkie ich problemy, sprawi, że zaczną żyć pełniej, dostrzegać to, co umyka ich uwadze i zyskają dostęp do tego, co znajduje się poza ekonomicznym zasięgiem. Techniki *mindfulness* są obietnicą, drogowskazem mającym prowadzić ku oświeceniu i lepszemu życiu. *Mindfulness* to pierwszy krok do nawrócenia się. To ostatnia „nauka Chrystusa”, który zstępuje na ziemię, by objaśnić nam prostą zależność: jeśli ciągle nie masz czasu i pieniędzy, to znaczy, że jesteś za mało uważny/uważna. Wbiegnięcie na „samą górę” Hudson Yards jest zadaniem trudnym, wprost niewykonalnym, a jednak podmiot ironicznie kwituje, że byłoby możliwe „choćby po dłuższym treningu *mindfulness* i dopiero za trzecim razem”.

Wiara w możliwość przebicia szklanego sufitu za sprawą determinacji i ciężkiej pracy, związane z mitem amerykańskiego snu, mają wskazywać na niejednokrotnie już w poezji ukazywane związki rynku i religii. Żebra konstrukcji Hudson Yards zostają w tym momencie porównane do biblijnej sceny, w której Tomasz nie wierzy w zmartwychwstanie Chrystusa („jeśli wespnę się tam między żebra wetknę palec jak w ranę”), czym pokazuje, jak bardzo w tej religii oddalony jest zbawiciel, z którym nie ma kontaktu, który odgradza się od ludzi. Przedstawiony w tych wierszach

kontrast luksusu sąsiadującego z biedą podkreśla nierealność wytworów „amerykańskiego snu”, powoduje, że podmiot staje się nieufny, że szuka jakiegoś potwierdzenia obietnic, które większość ludzi przyjmuje za pewnik. W wierszu pojawia się figura gołębia, który nie jest gołąbkim pokoju, ale raczej szarym i sparchłałym mieszkańcem nowojorskich dachów, w tym zewnętrznych i pięknych konstrukcji Hudson Yards.

gołębiu najlepszy skrzydłowy mój i centrze mego życia ty
poradź mi brachu druhu choćby skinieniem dzióbka swe-
go

o
małej wiary spójrz
na ten chleb na szyi jak myślisz
[...]
zaprawdę zaprawdę wiedz bowiem że czasem upadamy
innym razem nie podnosimy się wcale
kombinuj
gru-gru

Od tego momentu wątki ekonomiczne i motywy religijne będą przez autora w wyraźny sposób powiązywane, podmiot będzie starał się uwypuklić drobne zależności między rynkiem i wiarą; mity związane z Ameryką zostaną ujęte w koślawe frazy, które usztucznią i wykręca w dziwny sposób biblijna stylizacja, mająca być może podkreślać wyczerpanie się możliwości jakiegokolwiek metafizyki. Również i w tym wypadku należałoby osadzić próby Kozy w szerszym kontekście. Tego rodzaju zabiegi „demaskatorskie”, mające na celu krytykę systemu kapitalistycznego przenikającego najrozmaitsze dyskursy, uwytatnienie związków rynku i kościoła,

współpracę języków religijnego z marketingowym czy coachingowym były wielokrotnie podejmowane w poezji autorów z roczników 80. i 90. Podobne zależności wskazywali w swoich wierszach chociażby Tomasz Bąk, Kira Pietrek, Ilona Witkowska czy Szczepan Kopyt.

Jest jednak jeden szczegół, który nie pozwalałby zaliczyć wierszy Kozy do tekstów powyższej czwórki poetek i poetów. Niezwykle ciekawa perspektywa gubi się w ich zbytnej czytelności i przez stosowanie – momentami – zbyt dosadnych czy może przewidywalnych rozwiązań poetyckich, a występujące miejscami braki kompozycyjne znanadto zdradzają wiodącą intencję wierszy. Dwojako postrzegać można również rolę enumeracji, wprowadzających nazbyt klarowne, jednoznaczne i niedbale brzmiące frazy, a jednocześnie działających na zasadzie szybkiego montażu, w którym potęguje się i nawarstwia konkretny efekt, aniżeli rozbija, rozrzuca obrazy w jeszcze inne, nieco bardziej oddalone od siebie przestrzenie. Oczywiście te zestawienia obrazów w wierszach Kozy mogą być uznane za ich spory poetycki atut, pozwalają sprawnie zarysować przestrzeń i ślady, którymi czytelnik porusza się za podmiotem tekstu. Jednak poza tą przestrzenią i obrazami, których zestawienia wprost implikują dość jasną wykładnię intencji, jaką poeta zawarł w tych tekstach, brakuje tu pewnej staranności czy warsztatowego dopracowania. Pomimo tych zastrzeżeń, teksty Kozy stanowią bardzo ciekawy głos krytyczny podkreślający mechanizmy działania społecznych kontrastów wobec idei osobistego rozwoju i relacji na różnych szczeblach społecznej drabiny.

Ostatni z tekstów, *Good Friday (Buffalo)*, również już na poziomie tytułu zarysowuje kontekst i miejsce opisanych zdarzeń – podmiot przenosi się poza Nowy Jork, do miasta uniwersyteckiego na granicy z Kanadą. Good Friday, czyli Wielki Piątek, a zarazem odwołanie się święta upamiętniającego śmierć Jezusa na krzyżu, stanowi ironiczny komentarz do całości poruszonych wątków, stanowiąc zarazem udaną puentę dla całego zestawu. Należy zaznaczyć, że o ile w trzech pierwszych wierszach perspektywa zwrócona jest na

miasto, *Buffalo* to pierwszy tekst tak silnie uwydatniający podmiot, zaznaczający jego obecność i postawę. Poza miastem pejzaż jest zdecydowanie spokojniejszy, co innego przykuwa wzrok podmiotu. Kontenery, porozrzucane kartony, wiatr, biegające po ulicach koty. Ostatnia fraza brzmiąca „Jezus umarł bym ja mógł dostać na komunię rower” odnosi się wyraźnie do poprzednich elementów narracji, w których związki religii i metafizyka zostają skonfrontowane z mechanizmami rynku, koniecznością nieustającej konsumpcji.

Koza świadomie operuje kliszami ukazywanymi w środkach masowego przekazu czy tekstach kultury, zestawiając je z prozaicznymi scenami ulicznego bałaganu, przypadku i codziennego roztargnienia. Teksty te doskonale działają również na poziomie skali, operując zróżnicowaną perspektywą (detal, perspektywa horyzontalna, żabia, wertykalna). Umiejętność budowania obrazów i operowania skalą stanowią ogromny atut tekstów Kozy, autor ustosunkowuje się do ogranych tematów, pokazując jednocześnie na jak silnych fundamentach zbudowane zostały klisze, do których mimowolnie będziemy się odwoływać, ilekroć usłyszymy o trudnej drodze do sukcesu, samotnym przewyciężeniu społecznych barier, jednostkowym przekraczaniu systemowej niesprawiedliwości, choć w rzeczywistości – jak konstatuje w wierszu *Hudson Yards* Koza – „zaprawdę [...] czasem upadamy | innym razem nie podnosimy się wcale”.

Sonia Nowacka (ur. 1994) – studiuje krytykę literacką na Uniwersytecie Wrocławskim; publikowała m.in. w „Odrze”, „2miesięczniku”, „Pomostach” (2016) oraz „bibLiotece”. Laureatka I miejsca w Turnieju Jednego Wiersza im. Rafała Wojaczka.

czenia • tłumaczenia • tłumac

Marta Mochnacka

(ur. 1993 r.) – ukraińska poetka i tłumaczka. Wiersze oraz przekłady były publikowane m.in. w Internecie na stronach „Litcentr”, „F-writing”. Uczestniczka festiwali „Knyżkowyj Arsenal”, „Forum Wydawców we Lwowie”. Tłumaczy z rosyjskiego i niemieckiego. Mieszka i pracuje we Lwowie.

tłum. Anna Gruver

(ur. 1996 r.) – ukraińska poetka, krytyczka literacka. Autorka debiutanckiej książki poetyckiej *Brak wyników wyszukiwania* („Antywydawnictwo”, Kijów, 2019). Studiuje judaistykę na UJ. Mieszka w Krakowie oraz Charkowie, pracuje jako redaktorka.

дiм пригрозить

і нахилитьс̄я
забере собі́ голос
в підвал

щоб колись
бути видобутим

грітис̄я
рiжучи гуси
прикладаючи
собі́ їхню шкіру

dom zagrozi

i schyli się
zabierze sobie głos
do piwnicy

aby kiedyś
zostać odszukanym

grzać się
krając gęsi
przykładając
ich skórę do własnej

у пору

коли земля стиха надтріскується
і кісточки передчувають
пекучі подряпини

на подвір'ї
виникає велика пустеля
з дюнами
звуком піскового годинника

у великому решеті
відро за відром
висіюється спрага
в оазах бавляться сусідські коти
радіє визволитися і посіятися
насіння будяків

і останнє зернятко
і Різдво і кутя
і трохи щемко без твердої певності
що не міраж то був

w czasy

kiedy ziemia ucicha i pęknie
i kostki przeczuwają
draśnięcia piekące

na podwórze
powstaje wielka pustynia
z wydmami
dźwiękiem zegara piaskowego
w wielkim sicie
wiadro za wiadrem
pragnienie wysypuje się
w oazach bawią się koty sąsiadów
cieszą się wyzwolić się i zostać zasianymi
nasiona ostów

i ostatnie ziarenko
i Boże Narodzenie i kutia
i trochę tęsknie bez twardej pewności
że to był nie miraż

приведи до мене

всіх своїх чудовиськ
зі снів —
нехай тобі й залишиться
нічого

подогду вдивляйся у білий —
може, колись і проступлять
обриси —
ти повинен будеш
їх впізнати
за теплом

przywódcz do mnie

wszystkich swoich potworów
ze snów –
niech dla Ciebie zostanie się
nic

długo wpatruj się w biały –
może, kiedyś zjawią się
rysy –
będziesz musiał
rozpoznać ich
dzięki ciepłu

(Przek)ład do granic // Joanna Sobesto

Nie znam ukraińskiego. Znam natomiast sporo – z racji codziennych przekładoznawczych zajęć, czytelniczych nawyków i bolesnej autopsji – tłumaczeniowych porównań, metafor, a przede wszystkim przestróg: pozornie niewinnych ostrzeżeń rzuconych mimochodem, zwłaszcza pod adresem tych, którym przyszłoby do głowy przełożyć wiersz. Rzuca je i Robert Frost, i Thomas Stearns Eliot, a teza jest prosta: poezja przepada w tłumaczeniu, poezja ginie w przekładach. Efektowna, może nawet nieco efekciarska konstatacja, jakoby cechą konstytutywną wiersza miała być jego nieprzetłumaczalność i przekładowi, i poezji przysparza moim zdaniem więcej szkód niż pożytku. Twardy przekładoznawczy autorytet, przedstawiciel szkoły manipulistów, Theo Hermans trzeźwo zauważa, że przekład nie istniałby bez różnicy. Zamiast zatem pytać czy i po co tłumaczyć poezję, warto zastanowić się nad tym, co przekład robi (z) poezją i poezji. Mam ku temu wspaniałą okazję.

Nie znam ukraińskiego. Mam jednak dostęp do twórczości Marty Mochnackiej, którą przybliżył polskim czytelnikom już Tomasz Pierzchała, a teraz po śladach poetki stąpa Anna Gruver.

Interpretacja Pierzchały czyni z Mochnackiej ukraińską Hertę Müller, przeniesioną nie tylko w przestrzeni, lecz także w czasie. Kilka dekad później, w innej wsi, w odmiennym języku wydarzają się konflikty i powstają rany. Podmiotka liryczna zdaje sprawę z relacji rodzinnych wplecionych w codzienne czynności gospodarskie, szuka ukojenia w bliskości z naturą postrzeganą jako namacalny, dotykalny detal. Onirycznie (ocierając się to o realizm magiczny, to znów o koszmarny sen), nie rzucając słów na wiatr, obserwuje krewnych: bliskich, więc tym dotkliwiej odległych mężczyzn, którzy istnieją niejako równolegle; nie odpowiadają nawet na rozpaczliw(i)e emancypacyjne: „tato, patrz, dorosłam”. Podmiotce lirycznej, która już wie, a więc straciła niewinność, towarzyszy presja ograniczonej, lecz nie-bezpiecznej przestrzeni domu i cisza; jest zdana

wyłącznie na siebie, ale nie wpada w panikę; nieprzerwanie szuka innych sprzymierzeńców i sprzymierzeńczyń. W najbliższym otoczeniu, w naturze realnej, taktylnej, konkretnej: pod dłońmi, pod stopami, nad głową. Zawiązuje pakt z niemymi (choć nie: nieczułymi) świadkami historii (prywatnych opowieści) i Historii (napisanej przez zwycięzców i drukowanej w podręcznikach). Lektura przekładów kilku wierszy Mochnackiej z *Obszarów Przepisanych* przywodzi na myśl konkretne zabiegi charakterystyczne zwłaszcza dla kołaży Müller: brak interpunkcji, ascetyczna plastyczność obrazów, których nie można odzobaczyć. uderza w każdym z przedstawionych polskiemu czytelnikowi wierszy Mochnackiej. Interpretacja Pierzchały modeluje nie tylko recepcję tej poezji, lecz także czyni z samego tłumacza instancję niewidzialną, poddaną regułom przekładowej gry owładniętej patriarchalną obsesją autorstwa. Na szczęście można wobec tej rozgrywki zachować nie tylko czytelniczą nieufność, lecz także z dezynwolturą narzucić własne (czyli: cudze) zasady, choćby gramatyczne.

Nie znam ukraińskiego, natomiast Annę Gruver w poezji Mochnackiej ukraiński uwodzi, wodzi na manowce poprawności, uładowanych zdań w granicach kontrolowanych uzusem rebelii w polszczyźnie. Tłumaczka, na usługach własnej mowy ojczystej, poddała poetkę podręcznikowej wręcz forenizacji: autorka przekładu nie wsadza Mochnackiej do pociągu ani autobusu w naszą stronę, nie zabiera ze sobą na zachód, lecz pokazuje nam tam/ten świat osadzony w kontekście obcego języka, na zasadach obcej gramatyki. Gruver wybija nas z oczywistych skojarzeń; oto potykamy się o nieporadne sformułowania, odklejony od utartych schematów idiom, okaleczone normy. Szkłowski byłby zachwycony: ten forenizacyjny chwyt wybija nas z lekturowych przyzwyczajęń. Gdzieś między chęcią poprawienia oczywistych błędów, a konfuzją wynikającą z wieloznaczności niedoskonałych sformułowań rodzi się sens, który przybliży nas do tekstu.

Oto w utworze [*dom zagrozi...*] naszym oczom ukazują się

makabryczna przestrzeń przeznaczona do mieszkania, która nie gwarantuje bezpieczeństwa, lecz złowieszczo „zagrozi” – nie wiemy jednak komu. Dom, który „zabierze sobie głos do piwnicy”, a potem będzie „grzać się / krając gęsi”. Mroczny obraz martwego, ćwiartowanego zwierzęcego ciała nakłada się na plastikę „gry” i „kraju”, które współbrzmiały wyraźnym echem w interpretacji Gruver, dystansując nas w ten sposób od brutalnej praktyki zestawienia ludzkiej i ptasiej skóry. Językowa nieporadność nie kompromituje jednak treści, przeciwnie: sprawia, że po chwili dystansu jeszcze silniej zbliżamy się do nagiej treści utworu.

Podobnie w wierszu [*w czasy*] – już pierwszy wers konfrontuje nas z pewną dezorientacją: obcością, a przynajmniej potencjalną wieloznacznością. Zastanawiając się nad tym, czy ziemia cichnie skutecznie i na zawsze, czy stopniowo, próbujemy osadzić ją na osi czasu: w czasie, w czasach czy na w-czasach? Medytując jeszcze nad aspektem czasowników, potykamy się o profetyczne „kostki”, które konotują nawiązanie do bruku (zwłaszcza jako antycypacja niedalekiego podwórza) albo do ciała, które boli w apoteozie inwersji („draśnięcia piekące”). Dywagacje nad relacjami przestrzennymi wracają do nas przy próbie ulokowania pustyni: czy powstaje ona na podwórzu, czy lepiej podążyć za podszeptami Hitchcockowskiego *Rear Window*? W przedostatniej strofie utworu brak zgodności gramatycznej sprawia, że nie wiemy, kto się cieszy, kto chce się wyzwolić i kto chce zostać zasianym: czy koty, czy nasiona ostów, czy podmiotka – obserwatorka, która tęskni i zapytuje o istotę tęsknoty: czy tęskni ona sama, czy poddaje się wszechobecnej tęsknocie przestrzeni? Nieufna, konfrontuje się ze złudzeniem, wprowadzonym przez Gruver obcością mirażu. Który, dając słowo, mógłby być szary (w końcu *to człowiek tworzy metamorfozy*. I metafory).

Nie znam ukraińskiego, ale nad nim medytuję dzięki Mochackiej, Gruver i Pierzchale, za sprawą ich jednostkowych wyborów skupionych w miniserii przekładowej. Ostatni prezentowany

wiersz poetki istnieje wszak w dwu przekładach, co dla analizującej nieznającej ukraińskiego czytelniczki stanowi okazję do spojrzenia na Mochnacką z różnych stron, co pozwala wysłuchać obu opowieści. Tomasz Pierzchała, tłumacz (czyli najlepszy poeta) i poeta (czyli najlepszy tłumacz) pisze:

przyprowadź do mnie
wszystkie swoje bestie
ze snów –
niech i tobie ostanie się
nic
długo wpatruj się w biel –
może, kiedyś i
ukazą się
kontury –
będziesz musiał
je poznać
poza ciepłem

U Gruver spersonalizowane potwory zostały podniesione do rangi (godności?) człowieka, jak Psowie i Kotowie znani między innymi z prozy Tokarczuk. „Przywódź” niesie skojarzenia z nieuchronnością powodzi, lecz także frazą modlitewnego błagania „nie wódź nas na pokuszenie”; podskórnie wyczuwam tę sakralną, a niekiedy baśniową warstwę u Mochnackiej. Fraza „Wszystkich [...] potworów / ze snów”, których należałoby „przywozić”, konotuje kompulsywność, traumę, która odbija się echem, kołysze do snu upiorną kołysanką. Wers „Niech dla ciebie zostanie się nic” mógłby natomiast stanowić motto aktywności poetyckiej Stanisława Dróżdża, tak wrażliwego na napięcie między znaczeniem a materią słowa. „Niech... się stanie” ma w sobie moc magicznego zaklęcia, formuły religijnej, a może pobożnego życzenia. Rozpaczliwe, a może łapczywe „wpatruj” jak instrukcja, techniczne, choć in-

tensywne zalecenie: wypatruj, wpatruj się i patrz. Obiekt poddany obserwacji, „biały”, pozostaje nie(d)opowiedziany, a „rysy”, które się na nim zjawia „dzięki ciepłu” odzierają tę nie-barwę z abstrakcji. Zaimek „ich” znów zbliża nas do konkretności; konotuje określoną grupę, prawdopodobnie ludzi, „dzięki” ciepłu natomiast jest swoistym hołdem złożonym temperaturze, która być może stanowi jedyny sposób umożliwiający rozpoznanie tego, co wymyka się opisowi.

We wszystkich prezentowanych utworach napięcie między domem (rozumianym jako fizyczna przestrzeń i stan ducha) – czymś znanym i bliskim – a makabrą u Gruver zostaje spotęgowane napięciem w języku, testowaniem jego granic, szukaniem szwów. Połamana polszczyzna Gruver paradoksalnie zbliża nas do Mochackiej; w pękniętym języku jeszcze silniej obserwujemy rozpad relacji rodzinnych, tę bliznę, żal, a może nawet współodczuwamy żalobę, przez pryzmat której relacjonuje się wspomnienia i traumy, które w kolejnych realizacjach, zapośredniczaniu, głośnej lekturze i odtwarzaniu ożywają i tworzą nowe sensory. Wywołujemy: klisze, znaczenia i duchy. Nadal nie znam ukraińskiego, jednak czuję się bliżej ukraińskiej poezji niż kiedykolwiek. Gruver umożliwia wszak własną językową medytację (de)form(acji). Dzięki Pierzchale, dzięki Gruver i jej performatywnemu potencjałowi odkształceń polszczyzny Mochacka zaistniała w moim języku i ma w nim więcej niż jedną tożsamość.

Joanna Sobesto (ur. 1994) – absolwentka tekstów kultury wciąż związana z Wydziałem Polonistyki UJ – obecnie jako studentka przekładoznawstwa literacko-kulturowego. Miłość do rodzinnego Krakowa i literatury łączy z umiłowaniem długich i dalekich podróży. Kiedy nie czyta, pisze. Uzależniona od fotografii, zielonej herbaty i długich spacerów tuż przed zmierzchem. Zainteresowana herstoriami i zagadnieniami wielojęzyczności i autoprzekładu. Prowadzi ewidencję swoich rozlicznych uzależnień: sz-m-er.blogspot.com.

standy • onewierszstandy •

alicja dusza:

– absolwentka krakowskiej komparatystyki literackiej, studentka tekstów kultury, doktorantka kul-turoznawstwa. Zainteresowana kobiecością, męskością i ciałem. Bada strategie narracyjne. Krakowianka, nie z urodzenia. Publikowała w „Tlenie Literackim”, „Stonerze Polskim” i „Grupie MULTIMEDIA”.

atlas

jeśli uderzysz się w kant stołu nie masuj
niech boli i krwią nabiegnie
może kształt rozleje się po udzie
jak po podłodze przypadkiem kopnięta
miseczka z mlekiem w kuchni po której
skaczą salamandry

w ich żółtych plamach odbija się źrenica
blizna spojrzenia
kąpię się w nim i pytam
czy obrys wosku na skórze równa się mapie

Granice: ciało, ból, erotyka // Adam Pietryga

Wydaje się, że Alicja Dusza raczej konsekwentnie i z rozmysłem wypracowuje swoją poetykę, publikując wiersze w dużej mierze opowiadające o relacjach w związkach czy między osobami, które łączyła erotyczna więź. Wiersze krakowskiej autorki nie są jednakże erotykami, brak w nich afirmacji silnego uczucia lub tęsknoty za dawnym uczuciem, brak w nich również charakterystycznego napięcia, silnych i pozytywnych emocji, pojawiają się za to aluzje do cielesnych zbliżeń nie wywołujących większych uczuć. Czytając wcześniejsze wiersze autorki, ma się wrażenie powracającego wciąż motywu natrętnych i nie dających się wyrzucić z pamięci wspomnień („w ich żółtych plamach odbija się źrenica / blizna spojrzenia”), które ciągle powracają w codziennych sytuacjach (ścieranie skórki cytryny czy gryzienie jabłka – z jego oczywistą symboliką).

Choć niektóre frazy traktować można jako prowokacyjne, nacechowane erotycznie czy jako pochwałę/manifestację kobiecej seksualności podmiotce podczas opisywania tych powiedzmy, że dwuznacznych (czy może dwuznacznie kojarzących się podmiotce) czynności (wiązących się z gryzieniem, drapaniem, lizaniem) towarzyszą raczej neutralne emocje. Brak w tych frazach mimo wszystko afirmacji erotycznego kontekstu wymienionych czynności, tak jak również brak w ich opisach jakichkolwiek pozytywnych czy negatywnych uczuć. Podkreślenie tych dwuznaczności nie ma służyć wskazaniu poziomu libido podmiotki, lecz przedstawieniu efektów pewnego rodzaju pamięci ciała, wywoływanych przez nią skojarzeń lub może bardziej asocjacji.

Wiersze Duszy, choć ich rekwizytorium (jabłka, figi, miąższ, salamandry, wosk na skórze) mają spory potencjał erotyczny, w gruncie rzeczy przybierają charakter rozrachunkowy czy rozliczeniowy

i wydają się naznaczone trudnościami, przykrościami będącymi efektem skomplikowanych relacji między dwojgiem ludzi.

Wolę ująć ten wiersz jako część całości, bo wtedy zdecydowanie łatwiej go obronić – nabiera innych znaczeń, a życzliwe odczytania nie wydają się ironiczne i naciągane. Z recepcją poezji Duszy (ach, jak to pięknie brzmi!) wiążą się bowiem różne zagrożenia. Jednym z nich jest możliwość niewłaściwego czy niepełnego odczytania intencji autorki, jaką nadała tekstowi poprzez bardzo konkretny sposób eksponowania cielesności (nacisku na zmysły i doświadczanie ciałem); po pobieżnej lekturze jej wierszy można odnieść wrażenie, że ich podmiotka eksponuje swoją seksualność, posługując się przy tym najprostszymi środkami wyrazu.

Podczas uważnej lektury, zwłaszcza w kontekście innych opublikowanych dotychczas przez autorkę wierszy, można zauważyć, że seksualność w tych tekstach pojawiają się jako suche i zwięzłe sprawozdanie z seksualnych doświadczeń; nie prowokacja, lecz pełna skojarzeń i symbolicznych aktów, relacja z intymnych spotkań. Czasowniki, takie jak „lizać”, „ssać”, „gryźć” zestawione z owocami symbolizującymi płodność, erotyzm czy inicjację bądź biblijny grzech mają nie tyle wywołać dwuznaczne skojarzenia, co pokazywać, ile codziennych czynności nacechowanych jest erotycznie, jak trudno funkcjonować wobec kultury bez ukierunkowanych erotycznie skojarzeń.

Jest w tych wierszach (szczególnie w *Atlasie*) kilka niepokojących miejsc, w których dochodzi do aktów agresji, użycia siły, rękoczynów, uderzeń. Występujące akty agresji dokonywanych ze strony (osoby/osób do której/których mówi podmiotka) i wypowiedzi podmiotki zapowiadającej oddanie, rozprawienie się czy nawet może i jakiś rodzaj zemsty (również zastanowić by się można, czy występują w *Atlasie* lub innych wierszach akty autoagresji).

W tych wierszach niepokoi szczególnie wyraźne zestawianie erotyki i niechcianej agresji: występują tam opisy czynności,

w których podkreślane są ubytki, naruszenia, utraty, upadki; podmiotka zostaje czegoś pozbawiona, jej skóra zostaje przecięta, naczynia krwionośne naderwane. Wydaje się, że nie są to jednak utraty i naruszenia przez podmiotkę pożądane, a raczej ich nieemocjonalne opisy. Pozbawione oceny, ujęte gorzko i oschle, choć z dużą dbałością zakamuflowane cielesnością, grą erotyki, zmysłowości i skojarzeń.

Dusza w swoich wierszach, choć stosuje z jednej strony deklaracje tak przejrzyste jak „soki pocałunki lizalam i / ssalam i do-szłam”, ostatecznie otacza je zdarzeniami, w których dochodzi do agresji, do ścierań, uderzeń i kopnięć, wokół których pojawia się pustka (pusty kubek po wypiciu zimnej resztki napoju) i nieradzenia sobie z codziennością, co – jak sądzę – wytraca potencjał prowokacyjny, gubi początkowo widzianą w wierszach pewność siebie i afirmację czynności erotycznych.

Autorka *Atlasu* w jeszcze innym celu próbuje rozbijać swoje wiersze tak, by początkowo narzucić skojarzenia i po czasie ode-rwać je od erotycznego kontekstu. W ten sposób Dusza próbuje pokazać to, z czym kobieta musi mierzyć się w różnych środowiskach (nie tylko zmaskulinizowanych), w jaki sposób działa sam mechanizm traktowania kobiety jako obiektu seksualnego, odzierające ją z rzeczywistej możliwości zmanifestowania swojej seksualności. W tych wierszach poetka próbuje uzmysłowić czytelnikom i czytelniczkom jak bardzo kobieta w patriarchalnej kulturze musi pilnować się na każdym kroku; jeśli tylko nie doprecyzuje swojej wypowiedzi i nie wyklaruje swojego stanowiska to każda potencjalna dwuznaczność zawarta w dowolnej wypowiedzi, po-traktowana zostanie jako aluzja, propozycja, flirt czy kokietowanie.

Zastanawia również łączenie erotyzmu z wersami, w których pojawia się aspekt wchodzenia w bolesny kontakt cielesny, który podmiotka przedstawia w autoagresywny sposób, który ostatecz-nie staje się bólem kojącym: „gdy mijam się w drzwiach z tym

o którym nie chcesz mówić”; „z drugiej strony przyjemnie że czuję / cokolwiek nawet nie przyjemnie”; „pogłaskałabym ale kopnę” „ręce włożył we mnie aż pisnęłam i zakłuło ale / poczułam ulgę”. W jednym z wierszy następuje również moment wizyty, który można odczytywać dwojako: „wejdę do twojego domu położę się obok kiedy / będziesz spał obejmę cię konarami / drzewo figowe wyda zawiązki owoców będzie czas przycinania winnic”. Oczywiście pierwsze odczytanie tej sceny nasuwa jednoznaczny kontekst erotyczny, jednak warto zaznaczyć, że wiązać się on może również z aktem zemsty, samosądu, symbolicznej kastracji w trakcie snu.

Przyjrzyjmy się zatem bliżej już samemu *Atlasowi*. Wiersz rozpoczyna się w trybie warunkowym, ostatecznie sugerując, że ból i siniak są czymś, czego nie powinno się niwelować, ukrywać czy usuwać. Założeniem tej porady czy tego nakazu jest uderzenie się o stół, lecz nie wiadomo, w jakiej sytuacji dochodzi do uderzenia się. Czy dzieje się to podczas wstawania, przebiegnięcia, chwili nieuwagi? Czy to podczas nagłego wstawania od stołu, czy może ucieczki od stołu lub uderzenia się w stół stojący na drodze? Uderzenie musi być bowiem silne, powinno sprawić ból, w efekcie powinno pozostawić po sobie siniaka. W wierszach Duszy zapach na skórze, ślad, blizna, znamię, przebarwienie są momentami przełomowymi w wierszach, tym co staje się punktem zaczepienia.

Czemu służy więc pierwszy wers poświęcony biernemu podejściu do skutków uderzenia się udem o kant stołu? Czy właśnie o ten przepływ, to przedarcie się ze standardowego obiegu krwi i pęknięcia, wylanie się, w którym przepustowość miałyby mieć potencjał polityczny, potencjał sprzeciwu? Czy „nie masuj” to dobra rada, czy może złośliwość, może próba zakazania? Pierwsze zdanie zapisane jest w trybie warunkowym, jeśli doświadczysz uderzenia (się o stół), nie rozmasowuj, bo rozjaśnisz i zgubisz naturalne barwę i kształt siniaka, które mogą być albo dowodem albo dziełem sztuki. Wiersz ten w drugim wariantcie mógłby

nawiązywać do internetowych zdjęć galaktycznych siniaków pojawiających się chociażby na tumblrze czy w dziełach Riikki Hiivönen, która tworzy obrazy ogromnych siniaków na pośladkach widniejących na tle galaktyk. Czy może intencją autorki jest raczej zaangażowanie się bardziej w myśl ruchu body positive i jest to próba pokazania, że coś niechcianego i maskowanego może być czymś, czego znaczenie i widzenie można za sprawą czynności intelektualnej odwrócić o 180 stopni.

Jeżeli uznamy, że siniak pojawił się przez nagłe wstanie od stołu i późniejsze kopnięcie miski to w połączeniu z pojawiającą się później blizną, traktowaniem skóry jako pewnego rodzaju mapy, na której zapisano istotne wydarzenia, można mówić o próbie ucieczki rozumianej w dwójnasób. Próbie ucieczki w danym momencie i próbie ucieczki świeżo po tym zdarzeniu. Ucieczką od natarczywie powracającej myśli o siniaku byłaby wyobraźnia mogąca pomóc potraktować siniaka jako galaktykę i z niej wyprowadzić inne skojarzenia, które uruchamiałyby pracę pamięci. W ten sposób również działa to w innych wierszach, chociażby czynności z wiersza Eden, które uruchamiają skojarzenia, m.in. odwołując się do wymiaru symbolicznego, kulturowego aktu gryzienia jabłka.

To pierwsze skojarzenie pozwala wybrać jedną drogę interpretacyjną z tytułu, która może doprowadzi nas bliżej intencji, niż atlas jako język programowania, komputer, klub sportowy czy sprzęt z pakerni (choć i tu łatwo o siniaka). Poszedłbym raczej siecią skojarzeń mitologicznych i kosmicznych: Atlas przytrzymujący nieboskłon i jego atletyczna rzeźba; Atlas jako gwiazda Saturna, rakiet kosmiczna, atlas jako mapa (tym wyrazem kończy się wiersz), zbiór, opis nieba, kosmosu. Dodatkowo miseczką wprawioną w ruch, sunącą niczym talerz kosmiczny po drodze mlecznej, a na tej miseczce skaczące salamandry, które można potraktować różnorako. Odnosząc się jeszcze do symboliki biblijnej, można by potraktować salamandry jako zwierzęta nieczyste,

z którymi kontakt sprawia, że samemu staje się nieczystym, tak jak i miejsca, w których występują. Można jednak też salamandry uznać za część scenarii, w której doszło do zdarzenia, czy jako rzeczywiste, kochane, radosne salamandry lub jako zabieg wytrącający czytelnika z naturalnego trybu, jak np. mrówki wychodzące z dziur w dłoniach, czy „salamandry objedzonej przez mrówki”. Jest przecież jeszcze kultowa gra wideo, zręcznościowa strzelanka, „Salamander”, której akcja toczy się właśnie na kilku planetach, w odległej przestrzeni kosmicznej.

Istotne jest również to, że wybór padł na czarną salamandrę z żółtymi plamami. Plamy mogą się kojarzyć z gwiazdami na niebie, lecz podmiotce przypominają się źrenice, zwężona źrenica przypominająca bliznę (tutaj niefortunna forma dopełniaczowa). Skóra zostaje przyrównana do mapy, na skórze powstają kształty, obrysy, powstają galaktyki, od uderzeń, od tych przypadkowych i tych wymierzonych celowo, od tych przypadkowych i nieprzyjemnych, po te przyjemne nieprzypadkowe.

Trzeba przyznać, że zbiorcza lektura wierszy Duszy pozwala wypracować dość spójną interpretację, jednak pojedynczy wiersz pozostawiony bez kontekstu staje się mało czytelny. Zbyt wiele w nim niepotrzebnych sklejeń, porównań i usilnych, nie zawsze udanych, ucieczek od dosłowności. Odosobniony wiersz mówi niewiele, a prowadzona w nim narracja nie oferuje ciekawych rozwiązań. Warto jednak zaznaczyć, że przy szerszej lekturze cielesność staje się symbolem rozpaczliwego poszukiwania doświadczeń, chociażby tych związanych z bólem. Jakikolwiek ból odbierany jest przez podmiotkę jako lepszy aniżeli pustka i niemożność pocucia czegokolwiek. Nihilistyczna przyjemność wiąże się z odczuwaniem bólu, z wypływaniem, uderzeniem, przepływaniem, zmianą koloru, zmianą miejsca. Cieleśne rekwizyty służą Duszy do eksponowania materialności, fizyczności, zmysłowości doświadczenia świata, do poprowadzenia podmiotu, którego

jedyną szansą na ucieczkę od wewnętrznej pustki, traumatycznych wspomnień i zdarzeń podświadomie przywoływanych przez pamięć ciała, jest fizyczny ból.

Adam Pietryga (ur. 1993r.) -- z wykształcenia literaturoznawca i krytyk literacki. Publikował m. in. w 8. Arkuszu, KONTENCIE, Wydawnictwie j. Współtwórca wrocławskiego cyklu Czwartki Ujemne. Mieszka i pracuje we Wrocławiu.

klaudia pieszczoch

(ur. 1988) – pisze wiersze i opowiadania. Laureatka OKP im. Haliny Poświatowskiej, konkursu na opowiadanie Flash Europa 28 oraz 14. edycji Połowu organizowanego przez Biuro Literackie. Publikowała w "Wizjach", "Tlenie Literackim" i "Drobiazgach". Absolwentka MISH na Uniwersytecie Wrocławskim, iberystka.

kompost/miękisz

dni jak nadgryzanie kolejnych owoców:
czym są ich reszty zostawione do gnicia i co użyźniają
przeoczone w widoku:
kołujące sępy terra rossa hiszpanii
jej rozległe strupy i kobieta-bonsai z bloku naprzeciwko
która cię podgląda?
co twoje zamiary jak keloid przerosłe
porzucone od razu?

patrzę jak przybywa ciemnych śladów
po opadłych gałęziach (miejsc od których słabnie
wytrzymałość kadrów) powoli zbliżam się do tych stert:

zaschniętych pąków tkanek
obrosłych w perły drobin co wpadły ci do środka
niezauważone
ścinków ruchów uciętych w pół jak bieg po plaży
za tym ujęciem
w którym biegiesz po plaży
i mówienie do kogoś jak tym kimś do siebie -
aż widoczna jest pętla

szukam sznureczków miękiszu
za które nikt nie pociąga

Nie ma niczego bardziej materialnego niż rozkład // Idka Brożek

Popatrzmy na wiersz, jak na serię pewnych obrazów poetyckich albo fotografii.

dni jak nadgryzanie kolejnych owoców:
czym są ich reszty zostawione do gnicia i co użyźniają
przeoczone w widoku:
kołujące sępy terra rossa hiszpanii
jej rozległe strupy i kobieta-bonsai z bloku naprzeciwko
która cię podgląda?

Pierwszy obraz to wprowadzenie w czas. Nielinearny, zapętlo-
ny i fragmentaryczny. Na fragmentach jest tu zresztą skupienie
- nadgryziony owoc, opadłe gałęzie, strupy. Użycie tylko części
czegoś, niewykorzystywanie do końca, zostawianie jakiejś resztki
ma znamiona marnotrawstwa, ale autorka wskazuje tu też na rów-
nocześnie trwający proces twórczy, który może dać podłoże cze-
muś nowemu i dobremu - jak gniciu użyźnianiu gleby lub padlina
posiłkowi dla sępa. Przewrotnie to, co niepotrzebne i niechciane
staje się czymś przydatnym.

co twoje zamiary jak keloid przerosłe
porzucone od razu?

Drugi obraz jest bardziej konkretny, możliwy do wyobrażenia.
Zamiary nie zostały zrealizowane (albo tylko częściowo) i stały
się - jak przerośnięta blizna - czymś, na co nie chce się patrzeć:

zarówno dlatego że jest odpychające ze względu na swój wygląd, jak również przypomina o bólu związanym z jej nabyciem/wytworzeniem. Można też zadać sobie pytanie: co się dzieje z tą częścią, która nie zostaje do końca 'standardowo' użyta (jak zjedzenie całego owocu, zrośnięcie się całej tkanki), czym jest tej jej stan potencjalności?

patrzę jak przybywa ciemnych śladów
po opadłych gałęziach (miejsc od których słabnie
wytrzymałość kadrów) powoli zbliżam się do tych stert:

Trzeci obraz: ciemny ślad i kadr. Ciemny ślad po opadłych gałęziach nie ma żadnej funkcji, nie cechuje się niczym wyróżniającym jak plamy, łaty etc. Reprezentować może brak, świadczy o zniknięciu jakiejś większej całości.

Kadr to znów fragment. Pewnego rodzaju rama, dzięki której możliwy jest dostęp wyłącznie do pewnej części obrazu. Kadr oddziela i odcina. Pozwala na zostawienie tego, co chce się zobaczyć, tego, co w danej chwili ciekawe od tego, co pozostaje niezauważone. Tylko że liczy się to, co jest "poza"; to, co najbardziej interesujące jest nieuchwycone na fotografii.

zaschniętych pąków tkanek
obrosłych w perły drobin co wpadły ci do środka
niezauważone

Czwarty obraz pokazany jest tak: pąk, czyli coś, co miało wypuścić nowe pędy, było zaczątkiem nowego, ale okazuje się zaschnię-

ty, czyli niezrealizowany, w stanie gotowości, z potencjalnością przemiany, oraz perła, czyli - oprócz tego, że to największa klisza - piękno powstałe z uwierania, z bólu. Z tym, że nie wiadomo, w którym momencie niechciane i bezwartościowe ziarenko stanie się czymś produktywnym, bo zostanie pokryte cennym surowcem.

ścinków ruchów uciętych w pół jak bieg po plaży
za tym ujęciem
w którym biegniesz po plaży
i mówienie do kogoś jak tym kimś do siebie -
aż widoczna jest pętla

Piąty obraz: trochę fotografia, trochę film, w każdym razie nadal nie ma całości - i o to chodzi. Resztki, ścinki, fragmenty są tutaj dużo ciekawsze - pozostawiają tylko te wspomnienia, które chce się mieć, wybrane i istotne. Przechowywane są też wspomnienia, do których można nauczyć się mieć dystans; tak jak mówienie do kogoś jak tym kimś do siebie; w nieco dysocjacyjny sposób.

szukam sznureczków miękiszu
za które nikt nie pociąga

Obraz szósty: nieobecność. Może część jest lepsza niż brak? Skompostowana resztką daje podkład pod nowe życie, braku nie sposób zamienić na całość. Niech każdy nauczy się magazynować coś, cokolwiek, przechowywać jakieś fragmenty. Jak miękisz.

Idka Brożek (ur. 1994 r.) – kocha czytać, ale więcej mówi. Namiętnie jeździ na łyżwach i niespecjalnie lubi pizzę. Matką jeży.

maciej libich

(ur. 1996) – krytyk literacki, redaktor. Współzałożyciel kwartalnika „Wizje”, redaktor kwartalnika „Inter-” (2018). Współpracuje z „Literaturą na Świecie”, „Odrą”, „eleWatorem”, „Nowymi Książkami” i „Kontentem”. Recenzje, eseje, tłumaczenia, opowiadania oraz wywiady publikował również w „Zeszytach Literackich”, „Przeglądzie Filozoficzno-Literackim”, „Znaku”, „ha!arcie”, „Kontaktie”, „Nowej Orgii Myśli” i innych. Zajmuje się polską diarystyką XX wieku. Laureat Diamentowego Grantu (2019), w ramach którego bada rękopisy dzienników Leopolda Buczkowskiego, Anny Pogonowskiej oraz Jerzego Kamila We intrauba.

Mieszka na warszawskim Powiślu.

Schemat działania katarynki

jest naprawdę prosty. W środku są punkty dojścia, wejścia i wyjścia, są też punkty styku. Katarynka operuje liczbami.
/ W środku

katarynki siedzi kretynka i kręci korbką. Schemat działania kretynki

jest naprawdę prosty. To chodzi, to je. To myśli, to wciąga. To nakłada i zdejmuje. W środku kretynki siedzi karzeł, który ciągnie za sznurki i szuka punktów dojścia. W środku kretynki siedzi karzeł, który ciągnie za łańcuch i szuka punktu wyjścia. Schemat działania karła

jest naprawdę prosty. Karzeł cierpi na sennowłóctwo, na które mówi się też dromomania. Karzeł cierpi na sennowłóctwo, na które mówi się też obłąd wędrowczy. Karzeł ma skórzane, zdarte buty. Nie pamięta, jak się nazywa. Nie pamięta, skąd przyszedł.

/ „Jak się pan nazywa,

skąd pan przyszedł?”, pyta funkcjonariusz policji. Karzeł nie

/ odpowiada,

ale nie dlatego, że nie pamięta, jak się nazywa i skąd przyszedł,

/tylko dlatego,

że myśli o swoim pępku. Pępek, tak przynajmniej myśli karzeł,

/jest oznaką,

nieważne zresztą czego. Fiku-miku, utnij pępowinę, będzie blizna.

/Ci, co nie mają blizny,

nie mają imienia. Ci, co nie mają imienia, nie mają pępka.

/Schemat działania pępka

jest naprawdę prosty.

Adzie, Antkowi i Wojciechowi Nowickiemu

Postprus // Julia Czajska

Wiersz Macieja Libicha ma specyficzną, liryczno-epicką strukturę. Z jednej strony jest to charakterystyczny dla autorów lubiących zabawy literackie utwór-matrioszka, o kompozycji szkatułowej, która od dawna pociąga czytelników swoim pozornym skomplikowaniem, ukrytym w banale, ukrytym w pozornym skomplikowaniu, które jest ukryte w banale. Z drugiej, mamy do czynienia z głęboko narracyjną historią, której fabularność ukryta jest pod grubą warstwą konceptu i nie daje się od razu zauważyć.

To właśnie w tej fabularności zdaje się kryć klucz do odczytania utworu. Spójrzmy na tę scenę z perspektywy narratora trzecioosobowego: oto karzeł-lunatyk, siedzący na komisariacie, rozmyśla o tym i owym, podczas gdy funkcjonariusze policji bezskutecznie usiłują go przesłuchać. Okazuje się, że istotna treść przemyśleń jest niedostępna dla osób trzecich, podobnie jak będzie to miało miejsce przy finalnej próbie rozgryzienia tego orzecha.

Istotniejsza jednak wydaje się prymarna cecha świata przedstawionego, którą jest pozorna przyczynowość. Kompozycja szkatułowa jest kompozycją hierarchiczną: każda kolejna szkatułka wynika z poprzedniej. Autor sam podsuwa takie rozwiązanie, sugerując za sprawą tytułu i pierwszej strony pewną wynikowość: oto działanie katarynki ma wynikać z działalności kretyнки, której działalność ma wynikać z jeszcze innej działalności etc. Problem w tym, że główny bohater tej głęboko lirycznej historii, karzeł, jest z tej przyczynowości wyjęty: nie dlatego nie odpowiada policjantom, że nie pamięta, skąd przyszedł, tylko dlatego, że myśli o pępku. Krytyczne jednak jest to, że ów karzeł w istocie nie pamięta, kim jest, jednak to nie z tego wynika jego brak odpowiedzi, mimo że między „niepamiętaniem” a „nieodpowiadaniem” przebiega najprostsza linia przyczynowości.

Świat utworu tym samym rozpada się w drzazgi w apokaliptycznym geście przekreślenia prymarnej zasady rządzącej światem, z którego pochodzi autor, czyli naszym. Oto znaleźliśmy się w rzeczywistości, w której nic nie wynika prosto z czego innego: przyczynowość traci swoje znaczenie sprawcze, nabierając znaczenia metaforycznego. Strzałka na diagramie przedstawiającym działanie katarynki przestaje być strzałką alegoryczną, przyporządkowaną koncepcji przekształcenia aktu, a zaczyna być strzałką symboliczną. Tym samym znaczenia nabiera również obecne w wierszu rekwizitorium:

katarynka → kretynka → karzeł → lunatyzm → pępek → blizna
→ imię

Czym jest katarynka? Przedmiotem w nieskończoność odtwarzającym jedną melodię, mechanicznie utrwaloną w środku. Czy katarynka, powiązana pozornym łańcuchem przyczynowo-skutkowym z imieniem, jest tutaj ekwiwalentem naszej egzystencji, do bólu powtarzalnej i w nieskończoność powtarzającym ten sam znak, mający symbolizować jestestwo człowieka?

Julia Czajka (ur. 1993) – absolwentka kulturoznawstwa na UJ, stypendystka Instytutu Literatury w Linzu, początkująca powieściopisarka. Interesuje się visual culture studies oraz poezją najnowszą, ale nie wzgardzi również prozą.

agata jabłońska

– absolwentka historii sztuki, związana z Muzeum Narodowym w Krakowie. Publikowała teksty na temat architektury i wystawiennictwa. Przygotowuje wystawy, robi zdjęcia, protestuje. Wychowuje syna.

■

skręcony jak supeł w kłębuszek, co widzisz w najciemniejszej
ze źrenic: to ty, skręcony w kołtun, kiedy patrzysz w lej
najciemniejszej ze źrenic w najciemniejszej dziurze
źrenic zawinięty w supeł; miasto cię rozjeżdża i kawałkuje

o coś pytałaś, ale nie słyszałam; smutek to skutek endorfin
trop to drops z tropików albo rześka nutka o poranku
czy zaszeleszczę jeszcze na ścieżce, czy może jednak
poznać inny świat

zachodzi podejrzenie, że to napisał ktoś inny

Through the Looking-Glass // Przemysław Rojek

1.

Taki jakby test Rorschacha, wersja radykalnie skrócona do jednej tylko plamy. Dwie strofy, doskonale symetryczne, dwa tetrastychy – jak odbicie atramentowego kształtu na karcie. I jeden osobny wers – być może słowo badanego, opowiadającego, co widzi.

2.

Inna możliwość: strofy się od siebie odbijają, owszem – ale finalna linijka również jest powieleniem, refleksem tytułu. Tak chyba bardziej, tak sądzę.

3.

Tytułem jest czarny kwadrat – nie *słowo*, ale *dostownie* kwadrat, figura geometryczna. Oczywiście – na białym tle: na kartce papieru, na ekranie. Skojarzenie zupełnie podstawowe: ze słynnym obrazem Kazimierza Malewicza z roku 1915 (lub 1929, kiedy to powstaje jedyna do dziś istniejąca autorska kopia, namalowana w miejsce zniszczonego oryginału; fascynacje Agaty Jabłońskiej sztuką są zresztą rzeczą znaną, dość wspomnieć wiersz o Jerzym Nowosielskim z *Raportu wojennego*, głośnego debiutu poetki – wiersz skądinąd też dyptykowy, podwojony, odbity niczym dwie strofy utworu tutaj przeze mnie komentowanego). Rozpisywanie się na temat abstrakcji geometrycznej, awangardowego nicowania przedstawienia, suprematyzmu miałyby się z celem – wszystko to są sprawy podręcznikowo zbanalizowane. Zwróciłbym jednakowoż uwagę na pewną osobliwość – otóż z fizykalnego punktu widzenia obraz Malewicza nie istnieje. Czerń przecież w sensie

ścisłym nie jest kolorem – to brak światła, niemożność widzenia, a więc również: niemożność malarstwa, które wszak poprzez wzrok jest doświadczane (paradoksalnie zatem: im intensywniejsza czerń, im lepiej ją *widac*, tym bardziej jest niewidzialna). Nie inaczej z bielą: to radykalny nadmiar światła, w punkcie krańcowym zacierający wszystkie barwy (jak na zbyt długo naświetlanym zdjęciu, na którym sukcesywnie nika wszelkie odcienie i zacierają się kontury, aż do nieprzekraczalnego władzą widzenia momentu, w którym *widac* już tylko biel właśnie).

4.

Z tego punktu *widzenia* muszę wziąć w cudzysłów użyte powyżej słowo „refleks”; nie może być odbicia od czegoś, co albo jest ostatecznym nasyceniem światłem, albo wszelkie światło zasysającym jego (światła) brakiem.

5.

Tetrastychy – jako się rzekło – są symetryczne. Pierwszy zorganizowany został wokół patrzenia, drugi jest o słuchaniu.

6.

„skręcony jak supeł w kłębuszek” – tak to się zaczyna. Szczególny nadmiar: wyjąwszy dwa spójniki – pozostają czasownik i dwa rzeczowniki oznaczające plątanie, zwijanie do środka, kondensację i nierozwikływalność. Czego? Uciekającego w głąb – jak w tytule – światła, niezbędnego warunku widzenia: „co widzisz w najciemniejszej/ ze źrenic: to ty, skręcony w kołtun, kiedy patrzysz w lej/ najciemniejszej ze źrenic w najciemniejszej dziurze/ źrenic zawinięty w supeł”. Z jednej strony – wszystkie te figuracje zaciśniania, zawężania: „skręcenie”, „supel”, „kłębuszek”, „zawinięcie”, „kołtun”. Z drugiej – „lej” i „dziura”, ruch w głąb, ku najwyższemu zagęszczeniu grawitacji. Monotonia podwojeń wyrazowych, hip-

notyzująca (wszak o oku tu mowa!) klamrowość tylko podkreślają ten specyficzny niedowład, jałowość gestu spoglądania. Patrzący w źrenicę innej/ innego może dostrzec tylko siebie patrzącego na siebie patrzącego na... I tak dalej – niczym w znanej sztuczce z pozorną lustrzaną amfiladą – w złudną nieskończoność. W istocie bowiem spoglądanie w czerni źrenicy jest spoglądaniem tak samo beznadziejnym i iluzorycznym jak oglądanie obrazu Malewicza: gestem nieuchronnie ironicznym, próbą dostrzeżenia czegoś, co – mocą praw fizyki – jest jak najdosłowniej niewidzialne.

7.

Końcówka pierwszego tetrastychu – „miasto rozjeżdża cię, kawałkuje” – jest zaskakująca. Nieoczekiwane, gwałtownie szarpie na zewnątrz, wyrwa z zakłętej, autystycznie zamkniętej pętli spoglądania w zwierciadlaną głąb. Czasownik „rozjeżdżać” już samą swoją słowotwórczą budową narzuca agresywny ruch odśrodkowy: rdzeń „jechać” (przemieszczać się z szybkością zawsze większą niż przyrodzone człowiekowi chodzenie), poprzedzony przedrostkiem „roz-”, oznaczającym wielotorowość, eksplozywnie porzucenie pewnego umownego, statycznego, warunkowo inercjalnego układu odniesienia (tego właśnie przedrostka chciał użyć jako tytułu swej trzeciej książki poetyckiej Tadeusz Peiper – by oddać dynamiczny, burzycielski charakter zamysłu całości; poprawnościowa nadgorliwość wydawców zmieniła tytuł na banalne i kuriozalnie nieznaczące Raz). Podobnie ma się sprawa z „kawałkowaniem”: to, co do tej pory było poddane opresji maksymalnego centrowania, teraz podlega fragmentacji i rozproszeniu.

8.

Strofą drugą zarządza – jako się rzekło – to, co słyszalne. Ta przestrzeń sensoryczna zainicjowana jest już przez pierwsze słowa, „o coś pytałaś, ale nie słyszałam”, by znaleźć swój ciąg dalszy nie

tylko w bezpośrednim nazwaniu doświadczeń słuchowych („nutka”, „szelest”), ale też w trzech kunsztownych nadorganizacjach dźwiękowych, rymowo-aliteracyjnych („smutek – skutek”, „trop – drops” i „jeszcze zaszeleszczę na ścieżce”). Gier jest tu zresztą więcej, z różnych poziomów znaczeniowych: przykładowo, jeśli z przełamanej na dwa wersy parakatyicznej konstrukcji „smutek to skutek endorfin/ trop to drops z tropików” zostawimy tylko pierwsze i ostatnie słowo, odnajdziemy aluzję do tytułu kanonicznego zbioru esejów Claude’a Lévi-Straussa.

9.

Oczywiste pytanie: w co – a raczej: o co – *gra* Jabłońska?

10.

Słuch jest w zachodnim imaginariu kulturowym – na co zwracał uwagę już Martin Jay w swej fundamentalnej pracy *Downcast Eyes* – zmysłem nieporównanie bardziej upośledzonym niż wzrok: to patrzenie, a nie słuchanie stało się ośrodkiem konstrukcji idiomatycznych określających pełnię kompetencji epistemologicznej; mistrz *ma wgląd* w istotę rzeczy, rolą ucznia jest *stuchać* mistrza. *Widzieć* – to znaczy w sposób niemożliwy do falsyfikacji partycypować w porządku pierwszych zasad, słyszy się zawsze niepewnie, ze zniekształceniami. Jeśli jednak wzrok ustawiający pierwszy teatralnych wiersza Jabłońskiej był narzędziem opresji, kierował już to ku sobie samemu, w niekończące się odbicia, już to do tego, co niewidzialne, to słuch z drugiej (czy aby rzeczywiście „lustrzanej”?: nie jestem już teraz tego taki pewien) strofy przynosi oswobodzenie. Począwszy od owej lekceważącej odmowy odpowiedzi z pierwszych słów zwrotki (jeśli nie czujemy się zobligowani do reagowania na pytanie, to doprawdy nic już nie musimy), oddalamy się w pogłosy, echa, glosolalie; z twardych sensów pozostają nam już tylko absurdalne kojarzenia dźwięków, smutek autora *Antropologii strukturalnej* to dość w sumie banalne zaburzenie go-

spodarki hormonalnej, trop interesuje nas o tyle tylko, o ile słyhać w nim dropsa; pozostaniemy niepochwytni jak szelest na ścieżce.

11.

Co zobaczyła Alicja po drugiej stronie lustra? Wyzwolenie od dosłowności. Reguła – jedna z najsurowszych, jaką wykoncypowała ludzkość, czyli szachowa (odbicie zasad gry w karty z *Krainy Czarów* z wcześniejszej powiastki Lewisa Carrolla) – staje się przestrzenią niepokromionego onirycznego tripu wyobraźni. Jak pisze Agata Jabłońska: „może poznać inny świat”.

12.

Ostatni wers, konkluzja: „zachodzi podejrzenie, że to napisał ktoś inny”. Nie może być wyrazistszej figury uwolnienia się od napisanego niż zrzeczenie się – choćby tylko poszlakowe, hipotetyczne – autorstwa.

13.

Ostatni wers, komentarz do tytułu: „zachodzi podejrzenie, że to napisał ktoś inny”. Zaiste, *nic* może być napisane / namalowane tylko przez kogoś innego. Zawsze kogoś innego.

Przemysław Rojek (ur. 1978) – urodził się w Nowym Sączu, mieszka w Krakowie, uczy w Liceum Ogólnokształcącym Zakonu Pijarów. Doktoryzował się, publikował w tzw. branży (w realu i wirtualu), był stypendystą i laureatem, napisał książkę o Aleksandrze Waciu, przez jakiś czas redagował kilka sieciowych przestrzeni Biura Literackiego. Ma na swoje usługi dwa internetowe wampiry – bloga *Bartleby de Angola* i biBLioteczny, cykl tekstów *Wieża Kurremkarmerruka*. Mąż i ojciec, metafizyk, dorywczy sportowiec. Ma poważny problem z tym, że jego teksty krytycznoliterackie rzadko piszą mu się krótsze niż dwadzieścia tysięcy znaków.

michał kózka

(ur. 1993 r.) – absolwent Wydziału Polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego. Nie lubi komputerów z Internetem. Czyta, nawet po kilka razy, literaturę, której nikt nie chce czytać. Tłumaczy i pisuje z rzadka. Chciałby być poetą, choć zdaje sobie sprawę, że to nie zawsze kwestia chęci...

Chciałbym

Chciałbym zabrać głos w sprawie Polski.
wszystkim.

[grudzień 2017]

*** // Maciej Libich

I tak oto znaleźliśmy się w dość niezręcznej sytuacji: oboje przeczytaliśmy wiersz Michała Kózki – pora na komentarz. Problem polega jednak na tym, że doskonale wiesz, co mam zamiar powiedzieć. Wyobrażasz sobie, że moje uwagi mogą powędrować w dwóch kierunkach. Spodziewasz się więc, że albo będę próbował rozprawić się z wierszem, albo dokonam jego obrony. Atak – być może tak właśnie myślisz – nie byłby wcale bezzasadny, bo już wystarczająco długo zgadzaliśmy się na upolitycznianie poezji, wystarczająco długo znosiliśmy postawy antyliryczne i antyestetyczne, przystając w zamian na to, aby wiersz był, ponad wszystko i ponad miarę, aktualny. I może nawet trzymasz kciuki, żebym powtórzył i przypieczętował to, co tak stanowczo zaznaczył Jakub Pszoniak w wywiadzie o swojej książce: „Zaangażowanie powinno być nastawione na sprawczość. A skrajną naiwnością jest wiara w namacalną, społeczną sprawczość wiersza w dzisiejszej Polsce”¹. Może w takim razie powinienem zadać pytanie: czy pisanie takiej poezji, jaką reprezentuje *Chciałbym* Michała Kózki – minimalistycznej, programowo antyestetycznej i politycznej – ma dzisiaj sens?

A może właśnie na odwrót: liczysz, że w brawurowym stylu Jerzego Kwiatkowskiego – który o króciutkich *Podwalinach* Leopolda Staffa napisał kilka stron gęstej interpretacji – dołożę wszelkich starań i wybronię Kózkę przed potencjalnymi zarzutami? Nie tylko pokażę, że zaangażowanie ma sens, że wiersz Kózki może *coś* zmienić, ale i udowodnię, że jego forma nie jest wcale tak prosta, jak mogłoby się zdawać na pierwszy rzut oka? Że powtórzenie

1. Jakub Pszoniak, „*Historia to jest teraz, które się skończyło, i kiedyś, które trwa*”, rozm. przepr. Marcin Mokry i Aleksander Trojanowski, „Wizje”, <http://magazynwizje.pl/aktualnik/pszoniak-wywiad/> [dostęp: 13.12.2019].

pierwszego słowa w tytule jeszcze mocniej podkreśla potrzebę oddziaływania autora-podmiotu na rzeczywistość; że całość oparta jest na dowcipnej grze słów, w której utarte sformułowanie „zabrać głos”, zwykle oznaczające zaangażowanie w dyskusję, w tekście staje się jego przeciwieństwem; że przeniesienie słowa „wszystkim” do drugiego wersu zarówno zaskakuje czytelniczkę, jak i organizuje całą strukturę wiersza; że „wszyscy” – choć pierwsze zdanie zachowuje pełną poprawność ortograficzną – wbrew oczekiwaniom pisani są małą literą, co może wskazywać na brak szacunku autora dla „wszystkich”, którym należałoby odebrać głos w sprawie Polski; że data powstania utworu nakazuje, aby odczytywać go nie jako tekst uniwersalny pod względem interpretacyjnym, ale jako polityczny manifest (i dokument) konkretnych czasów.

A może jeszcze inaczej: wolisz, żebym zagłębił się w *Chciałbym* i doszedł do wniosku, że całość na płaszczyźnie politycznej nie ma jednak najmniejszego sensu. Że tekst jest zaangażowany tylko pozornie, a w rzeczywistości jest na odwrót. Może zyczysz sobie, żebym zapytał Kózkę, co się stanie, jeśli odbierzemy głos wszystkim? I jeśli nikt nie będzie mógł zabrać głosu w sprawie Polski, to czy Polska będzie jeszcze istniała? Czy w takim razie wiesz ma na celu poprawić sytuację w kraju, czy może raczej ten kraj wyrugować i wymazać z mapy? Czy odebranie głosu w sprawie Polski potraktować można w ogóle nieco szerzej i interpretować jako nakaz milczenia – takiego milczenia, którym próbuje się wpływać na pamięć historyczną? Czy to ten sam rodzaj milczenia jakie panuje dziś wokół Ślązaków, którzy podpisali volkslistę i trafiali do polskich obozów pracy? Rodzajów milczenia jest wiele – jakie milczenie proponuje Kózka?

A może czekasz, aż uznam, że *Chciałbym* to po prostu świetny żart? A może słaby żart – i tyle?

Nieco na przekór – nic takiego nie zrobię. Nie powiem ani jednej z tych rzeczy. Bo może czasem warto posłuchać się wiersza i zabrać sobie głos?

Maciej Libich (ur. 1996) – krytyk literacki, redaktor. Współzałożyciel kwartalnika „Wizje”, redaktor kwartalnika „Inter-” (2018). Współpracuje z „Literaturą na Świecie”, „Odrą”, „eleWatorem”, „Nowymi Książkami” i „Kontentem”. Recenzje, eseje, tłumaczenia, opowiadania oraz wywiady publikował również w „Zeszytach Literackich”, „Przeglądzie Filozoficzno-Literackim”, „Znaku”, „ha!arcie”, „Kontakcie”, „Nowej Orgii Myśli” i innych. Zajmuje się polską diarystyką XX wieku. Laureat Diamentowego Grantu (2019), w ramach którego bada rękopisy dzienników Leopolda Buczkowskiego, Anny Pogonowskiej oraz Jerzego Kamila Weintrauba. Mieszka na warszawskim Powiślu.

roza • proza • proza • proza • proza

laura grad

– dwudziestodwuletnia studentka filologii szwedzkiej na Uniwersytecie Jagiellońskim. Pogodzi z gór, mieszka z kotem w Krakowie. Interesuje się przekładem, sama również pisze. Współpracuje z „Zeszytami skandynawistycznymi”.

Okno z widokiem

I. Środa

Halo?

Dzień dobry. W słuchawce odezwał się wysoki głos zabarwiony wesołością, sugerujący uśmiech osoby po drugiej stronie. Czy dzwoniłam się do pani Amandy?

Owszem.

Znalazłam pani numer w gazecie. Kobieta na chwilę zamilkła. Chociaż dzwoniła już wielokrotnie, za każdym razem udawała na początku, że to pierwszy raz.

Wahałam się trochę, ale stwierdziłam „a co mi tam”.

Mam nadzieję, że podjęła pani dobrą decyzję.

No tak.

Znów nastała cisza. Amanda nie miała zamiaru jej przerywać. Wiedziała, że wystarczy poczekać. Tak naprawdę każdy chce opowiadać o sobie.

Siedzę tak sobie sama. Męża nie ma, dzieci już dawno wyszły z domu. Jakbym się nie zdecydowała zadzwonić, musiałabym gadać sama do siebie. Jak wariatka. Jak to jest, że człowiek zostaje w końcu sam jak palec? Wie pani, jak byłam młodsza, to nigdy nie myślałam, że to tak będzie. Po to w końcu człowiek zakłada rodzinę, dzieci wychowuje, męża ma, pracę, żeby później mieć do kogo gębę otworzyć, zwierzyć się, pogadać. A tu nie. Z mężem to ja się, wie pani, nigdy nie dogadywałam. Po prostu z innych planet jesteśmy. Inna mentalność. Inne światy. Ja swoje. On swoje. Chociaż nie. On to mi nigdy nic nie mówi. I słuchać też nie chce. Czasem sobie myślę, że nigdy nie powinniśmy zostać małżeństwem. Ale człowiek młody, chciał się z domu wyrwać, myślał, że wszędzie będzie lepiej. W kościele uczyli, że jest tylko jedno piekło, ale to nieprawda. Ja z jednego do drugiego trafiłam.

Nastała chwilowa przerwa. Kobieta musiała osuszyć oczy chusteczką i przetrzeć nos. Łzy już od jakiegoś czasu w niej wzbierały. Tak było zawsze. Temat rozmowy też się nie zmieniał. Czasami było więcej żalu, innym razem złości. W zależności od dnia, na powierzchnię wypływał temat męża lub dzieci. Zawsze za to pojawiała się samotność, niezrozumienie, niemoc pogodzenia się z losem.

Wie pani, przyjechała do mnie córka z Austrii. Mam dwie córki i syna. Z synem jakoś idzie się dogadać, to mój najmłodszy, rodzynek, ale z córkami... Ja nie wiem. Wszystko dla nich robiłam. Wszystko poświęciłam, a one nie mają do mnie za grosz wdzięczności, za grosz szacunku. Wie pani, co mi ta najstarsza, ta co teraz z Austrii przyjechała, wie pani, co mi powiedziała? Że w usta to ją może tylko mąż całować. Wyobraża sobie pani? No to się jej pytam, a co matka? Co matka może? Bo wychodzi na to, że nic nie może. Ani przytulić, ani pocałować, ani nic powiedzieć, bo ta zaraz się kłóci, zaraz najmądrzejsza. Wszystko jej poświęciłam! Wszystko! A teraz jestem traktowana jak śmieć!

Ciche łzy zamieniły się w płacz. W pomieszczeniu z wykrzyczanymi słowami zrobił się z tego głośny lament. Co dziwne, nie budził współczucia. Jak histeria rozpieszczonego dziecka.

No a z młodszą to już w ogóle tragedia. Nie chce mnie widzieć, ani ze mną rozmawiać. Ostatnio, jak przyszła, to żeśmy się poszarpały. Nawet nie wiem, jak to się stało. Tylko weszła, naskoczyła na mnie, że niby wnukami się nie potrafię zająć, jak do mnie przychodzą, to podobno całymi dniami na telefonach grają. Zdenerwowałam się, nie tylko za takie oszczerstwa, ale że mnie suka będzie uczyć, jak się dzieci wychowuje! Przepraszam, wiem, że nie powinnam tak mówić, no ale żeby tak matkę lekceważyć. I zaraz coś zaczęła, że o dom nie dbam. Zobaczyła na talerzyku jakieś spleśniałe ciasto. Pyta się, czy czekam, aż samo wyjdzie. I zaraz bierze ten talerzyk i marsz do kosza. To podeszłam i jej wyrwałam, bo jak jeden kawałek spleśniał, to nie znaczy, że wszystkie do

wyrzucenia. I tak się zaczęło. Do tej pory cała prawa ręka mnie boli. Telefon w lewej ręce trzymam, choć tak niewygodnie. No cóż. Borgia pokarała. Nie powinnam się dać tak wyprowadzić z równowagi.

Teraz widzi pani. Ja nikogo nie mam. Choćbym chciała, nie ma się do kogo odezwać. Dlatego zadzwoniłam.

Dobrze pani zrobiła, ale niestety musimy już kończyć.

No tak, oczywiście. No to dziękuję bardzo.

Ja również.

Do widzenia.

Amanda odłożyła telefon na stolik i zsunęła się z kanapy. Siedzenie praktycznie bez ruchu dawało jej się we znaki. Spróbowała wykonać kilka bocznych skłonów, po czym położyła dłonie na lędźwiach i odchyliła się w tył. Stała prosto i zerknęła na zegarek, na którym wcześniej sprawdzała tylko upływ czasu, nie zwracając uwagi na porę. Podeszła do komody, żeby wyjąć z górnej szuflady dozownik na leki. Otworzyła odpowiednią przegródkę i wysypała zawartość na dłoń. W kuchni nalała wody do szklanki i popiła wszystko za jednym razem. Otworzyła okno, przysunęła w jego stronę wysoki taboret i wspięła się na siedzenie. Zapaliła papierosa wyciągniętego z leżącej na parapecie paczki. Powietrze robiło się chłodne. Obserwowała brzoskwiniowe chmury zabarwione kolorami niewidocznego, zachodzącego słońca. Może to i dobrze, że do miast nie docierają spektakularne, popołudniowe pokazy natury. Ludzie nie muszą się zastanawiać nad pięknem, którego widoku się pozbawiają.

II. Piątek

Myślała, że już nikt nie zadzwoni, chociaż w piątki zdarzały się niekiedy późne telefony od samotników, którym własny los zaczynał nagle ciążyć przy głośnych rozmowach wychodzących na imprezy młodych ludzi albo od podpitych nastolatków, przeglądających dla rozrywki magazyny wróżbiarskie matek lub babek

i dzwoniących w przypiływie młodzieńczej brawury pod znajdujące się w nich numery.

Nalała sobie kieliszek wina i zaczęła przeglądać program telewizyjny. Wykupiła ostatnio nowe kanały, więc miała nadzieję skończyć, oglądając dobry film, a nie psiocząc w duchu, że bez sensu płaci za kablówkę.

Zdecydowała się na thriller o żyjącym w odosobnieniu małżeństwie, którego spokój zaburza pojawienie się obcych mężczyzny i kobiety. Według opisu film nie zdobył żadnych nagród, ale nominowany był do Złotego Lwa, Złotej Zaby i Saturna. Natura i gwiazdy nie mogły się mylić.

Zgasiła światło, ułożyła poduszki w rogu kanapy i rozsiadła się wygodnie. Początek filmu przerwał dzwonek nienależący do ścieżki dźwiękowej. Wcisnęła pauzę i odebrała telefon.

Halo? Odezwał się niepewny głos młodego mężczyzny.

Dobry wieczór.

Tak, dobry wieczór. Nie za późno dzwonię?

Nie, w porządku. Gdyby było za późno, to bym nie odebrała. Postanowiła go trochę zachęcić, bo czuła, że nie wie, czy pozostać na linii, czy się rozłączyć.

Mam na imię Marcin.

Tu już zamilkła. Przestał potrzebować pomocy.

Nie wiem, czy pani jest wróżką, czy jak, ale znalazłem pani numer w takiej jednej gazecie. Moja mama ją czyta. Zresztą pani na pewno wie. W sensie, że tam jest pani numer, a nie, że moja mama czyta. Odetchnął i zamilkł.

Nie jestem wróżką.

To w takim razie co? Pisała pani, że można dzwonić i opowiedzieć o wszystkim co się chce.

No właśnie. Niech pan mówi, ja słucham.

Przez chwilę miała wrażenie, że chłopak znów myśli o odłożeniu słuchawki, ale najwyraźniej w końcu stwierdził, że proponowane

przez nią wyjście nie jest najgorsze.

No bo widzi pani, zaczął powoli, zastanawiając się początkowo nad każdym słowem. Jest taka sprawa. Mam nadzieję, że nie pomyśli pani o mnie źle. Znaczy się, to co zrobiłem jest złe, nie ma wątpliwości, ale to nie znaczy, że ja jestem zły. Ja nie chciałem.

Oddech, cisza. Teraz miał kontynuować już sam z siebie. Zaczął, więc czuł, że musi dokończyć.

Kilka miesięcy temu, dokładnie cztery, była impreza. Taka domówka u znajomego. Rodzice wyjechali, chata wolna, dużo miejsca, no to postanowiłem zaprosić kilku znajomych. To mój taki bliski kumpel, więc byłem oczywiście zaproszony. No a że on nie jest taki jak ja, no w sensie ludzie go lubią, to trochę osób się zeszło. Gadaliśmy, był alkohol, żarcie, no normalna domówka. Fajnie się wszyscy bawili. Każdy się trochę podpił i nagle wszyscy byli jak kumple. No ale nie będę opowiadał szczegółów, bo to nic ciekawego. Nie o to chodzi. Chodzi o to, że przyszły takie dwie dziewczyny. Obie Kasie. Obie fajne. Jedna blondynka, druga ciemne włosy. Z blondynką kręcił Artur. Staliśmy w takiej grupce czteroosobowej. Jak ci się zajęli sobą, to ja uderzyłem do ciemnej. Inteligentna dziewczyna, mówiła coś na jakie studia chce iść. Ale też śmieszna, nie sztywna, tylko trochę zestresowana. Wzięliśmy sobie po kolejnym piwku, wyszliśmy na podwórko na papierosa. Wydawało mi się, że mnie lubi, ale zbliżyć się do siebie za bardzo nie dała. Cały czas gadaliśmy, kolejne piwka, postanowiłem działać powoli, ale nie mogę powiedzieć, że mnie nie pociągała.

Przerwał, żeby zaczerpnąć powietrza. Może zapomniał, że mówi do telefonu. Może podniósł wzrok i nie mógł uwierzyć, że nikt przed nim nie siedzi.

Jest tam pani dalej?

Jestem. Co było potem?

A no tak. Kaśka chciała wyjść na papierosa. Ja jej mówię, że dużo ludzi siedzi na polu, nie chciałem, żeby się z kimś zagadała,

zapropnowałem, żebyśmy poszli do pokoju Artura, że niby ma duże okno, pozwala w nim palić, na pewno się nie obrazi. No nie będę oszukiwał, że liczyłem na coś więcej. Ciemno, sypialnia, myślałem, że wtedy się rozluźni. No w każdym razie zgodziła się iść na górę. Odłożyła torebkę na krzesło, wyciągnęła z niej fajki i poszła do okna. Już wtedy tak trochę niepewnie szła. Myślę, że nie była przyzwyczajona do alkoholu, a jednak kilka piw wypijała. Chyba nawet potknęła się o coś. Powiedziałem, że idę do łazienki. Chciałem się trochę odświeżyć. Jak wychodziłem, siedziała na parapecie.

Nie wiem, jak ona to zrobiła. Mówią, że po prostu spadła. Może się wychyliła? Chciała komuś pomachać? Pierwsze piętro, ale jakoś tak źle spadła. Skręciła kark.

Amanda się nie odzywała. Wiedziała, że nikt nie dzwoni do niej, żeby opowiedzieć o imprezie lub historii miłosnej. Chęci usłyszenia porady sercowej też się po chłopaku nie spodziewała. Od początku wyczuwała, że opowieść toczy się w głęboki, ciemny dół. Może jednak miała nadprzyrodzone zdolności.

Niby nikt mnie nie oskarżał, bo mówiłem, że mnie nie było w pokoju. Rodzice Kaśki nie złożyli nawet sprawy do sądu, chociaż wiem, że mogli. Nie miałem żadnych dowodów.

Czasem sobie myślę, że może lepiej byłoby siedzieć w więzieniu. Może wtedy przestałbym ją widzieć. Bo wie pani, ona mnie cały czas prześladowa. Śni mi się. Wydaje mi się, że widzę czasami. Jadę autem i zatrzymuję się, bo jestem pewien, że szła chodnikiem. Do Artura to już nawet nie chodzę, bo wiem, że będzie siedzieć na tym jebanym parapecie. Może trzeba dostać karę, żeby pozbyć się winy. Ja swoją dalej mam wypisaną na twarzy. Wiem to. Widzę w swoim odbiciu, w oczach matki, znajomych, nawet kurwa w oczach kasjerki w sklepie.

Czasem sobie myślę, wie pani, że może jest we mnie jakieś zło. No bo, jakby nie patrzeć, najpierw chciałem Kaśkę zaciągnąć do

łóżka. Planowałem zły uczynek. Nie zrobiłem tego, ale stało się coś gorszego. Nie wypchnąłem jej z okna, ale też nie było mnie przy niej. Sam ją zaciągnąłem na piętro, a potem zostawiłem. Czyli tak jakby pozwoliłem jej wypaść. Po wypadku myślałem, żeby popełnić samobójstwo, a to przecież też grzech, u nas to się nawet samobójców na cmentarzu nie chowa. No w każdym razie tak czuję, że coś złego we mnie siedzi. Tak obok tego normalnego, dobrego. Co jeśli następnym razem z własnej woli komuś zrobię krzywdę?

Dlatego zadzwoniłem, ale mówi pani, że nie jest pani wrózką albo jakąś egzorzystką, czy coś?

Nie, nie jestem.

No to nic.

Zamilkł. Musiał sprawdzić godzinę, bo powiedział, że chyba musi kończyć. Jeśli dobrze pamiętał, w ogłoszeniu stało coś o godzinie rozmowy.

No to dobranoc pani.

Dobranoc. Mam nadzieję, że mimo wszystko jakoś to panu pomoże.

Tak. No nie wiem, zobaczymy.

Zobaczymy.

Rozłączyła się. Przez chwilę patrzyła na telefon, przejeżdżając palcem po wypukłej klawiaturze z cyframi. Dołała sobie wina, którego pierwszy kieliszek zdążyła wysączyć podczas rozmowy i włączyła *play* na pilocie. Z coraz większą trudnością przychodziło jej skupienie się na fabule. Na początku wydawało jej się, że podąża za akcją, ale w końcu przestała rejestrować zdarzenia, zostały tylko obrazy. Robiły się coraz bardziej chaotyczne. Na ekranie pojawiła się masa ludzi. Amandzie wydawało się, że przypominają zwierzęta. Niektórzy skakali bez celu, w tę i w w tę, jak żaby. Inni atakowali się nawzajem, podobni do rozwścieczonych lwów. Kamera krążyła między nimi jak bezmyślnie poruszający się po orbicie Saturn. Wyłączyła telewizor. Wlała do kieliszka trochę wina

i wypła je jednym haustem. Postanowiła odpuścić sobie prysznic. Chciała tylko umyć twarz, położyć się do łóżka i zasnąć. Zwykle miała barwne sny, ale czasem nawet one i ich niezrozumiała logika zdawały się mniej chaotyczne niż życie.

III. Sobota

Jak tam minął tydzień? Spytała Agnieszka, siadając przy stole w kuchni. Rozpięła płaszcz i pociągnęła za chustkę, która okrążyła jej szyję niczym szmaciany wąż, po czym zsunęła się na kolana.

Amanda podeszła do blatu i włączyła czajnik.

W porządku, nic nowego. A co u ciebie?

A no co u mnie, praca, dom dzieci, sama wiesz.

Amanda pokiwiała głową, jakby faktycznie wiedziała.

Stasi się coś polepszyło? Zapytała, wsypując do dzbanka dwie łyżeczki kawy i zalewając je wodą.

Tak, jeszcze bierze antybiotyk, ale w poniedziałek już idzie do szkoły. Powiem jej, że o nią pytałaś. Ucieszy się.

Zawsze o nią pytam.

No tak, ale ona nie zawsze jest chora, nieszczęśliwa i pragnąca zainteresowania.

A ja znów ostatnio taka zmęczona wracam z pracy. Cały czas są jakieś dostawy, ludzi mnóstwo. Zawsze tak jest na jesień. Najpierw szkoła, podręczniki, potem studenci, jedną nagrodę literacką rozdają za drugą, ludzie stwierdzają, że trzeba sprawdzić, czy zostały słusznie przyznane. Ale inne książki też schodzą. Chyba przez to, że jak się każdy naogląda tych obrazków i zdjęć typu „ja, książka, kocyk”, to im się zachciewa samym tak z książką pod kocykiem posiedzieć.

Ja cię dziś nie będę zamęczać. Podstawowe zakupy i możemy wracać do domu. Amanda postawiła przed siostrą filiżankę i sama

usiadła przy stole.

No coś ty, nigdy mnie nie zamęczasz, możemy załatwić wszystko, co tylko chcesz.

Nie, ale naprawdę nic więcej nie planowałam, tylko wizytę w supermarkecie.

Agnieszka nigdy nie narzekała, ale było oczywiste, że przyjeżdżała co sobotę z poczucia obowiązku. Zawsze stawiała się punktualnie o dwunastej. Był to dla niej kolejny dzień pracy.

I tak mam trochę do zrobienia.

W weekend też dzwonią?

Nie, ale znów zaczęłam pisać. Nie do gazet, tylko tak dla siebie. Wydaje mi się, że mam pomysł na książkę.

Naprawdę? Agnieszka sięgnęła po kruche ciastko posypane cukrem i zaczęła je chrupać drobnymi kęsami. To tajemnica czy zdradzisz mi choć trochę?

Nie no, żadna tajemnica. Chciałam opisać dom, rodzinę. Nie bój się, nie naszą. Wszyscy mieszkają pod jednym dachem, ale się kompletnie nie znają. Każdy ukrywa jak może swoje problemy. Próbuje sobie z nimi poradzić, ale w końcu orientuje się, że sam nie da rady. Jedno po drugim idzie do psychoterapeuty, a na końcu okazuje się, że wszyscy wybierają tego samego.

To tylko taki plan, nie wiem, czy coś z tego będzie. Sięgnęła po ciastko i zamoczyła je w kawie.

Zawsze się interesowałaś takimi psychologicznymi rzeczami. Nie wiem, czemu nie poszłaś na psychologię.

Amanda wzruszyła ramionami. Nie chciała dyskutować na ten temat. W końcu rozmowa zesłaby na jej chorobę i przybrała taki sam obrót jak zwykle. Zawsze musiała wysłuchiwać argumentów o zmieniającym się społeczeństwie, postępie, tolerancji. Oczywiście, że świat nie był już taki jak kiedyś, ludzie nie chodzili oglądać odmieńców w cyrku, ale pewnych rzeczy nie da się przeskoczyć. Kto chciałby być leczony przez karła? Jaki pacjent mógłby się

poczuć swobodnie przy zniekształconej kobiecie wzrostu dziecka, która mimowolnie rozprasza, przyciąga wzrok.

No ale co ja się wymądrzam, sama przecież miałam w liceum takie ambitne plany. Uczylałam się historii, chciałam zdawać na prawo, a potem się potoczyło jak się potoczyło.

Zbieramy się? Zapytała, wstając z krzesła. Była nadal w płaszczu. Od początku miała nadzieję, że rozmowa przy kawie się zbytnio nie przeciągnie.

Pewnie. Tylko pójde po sweter. Amanda pozbiierała filiżanki, włożyła je do zlewu i wyszła do sypialni.

A tak a propos rodziny, zagadnęła Aga już przy drzwiach. Widziałam się ostatnio z mamą. Wiem, że dalej jej nie wybaczyłaś, ale ona by bardzo chciała, żebyś ją odwiedziła. Mówię ci, bardzo się zmieniała. Nie możecie się do siebie nie odzywać w nieskończoność.

Amanda odwiesiła na haczyk łyżkę, przy pomocy której zakładała buty. Wyglądziła bluzkę i zapięła guziki swetra.

Myślisz, że będzie padać? Powinnam wziąć parasol? Nie sprawdzałam dzisiaj pogody.

IV. Wtorek

Dobry wieczór, Amando. Ammannda, prawda? Zapytała kobieta o niskim, chociaż młodym głosie. Mówiła niespiesznie, kładąc nacisk na miękkie, nosowe głoski.

Tak, to dobry numer, odpowiedziała Amanda swoim stałym zwrotem.

Czekam na pytania, stwierdziła dziewczyna po chwili milczenia. Bez pytań nie ma rozmowy, a już na pewno nie z wróżką.

Niestety nie jestem wróżką.

Nie jest pani? No proszę. To zmienia postać rzeczy. Chociaż nie do końca. I tak by pani mogła o coś zapytać. Na przykład, jak mam na imię. Odpowiedziałabym, że Natalia. Nieważne, czy

to prawda. Wtedy by pani mogła zapytać „dlaczego Natalio pijesz sama wieczorem w środku tygodnia, a później dzwonicz po wróżkach?” No ale tak, pani nie jest wróżką, zapomniałam. Swoją drogą to szkoda. Może by mi pani mogła pomóc, być dla mnie, jak to się mówi, mentorem, duchowym wsparciem. Bo podobno u mnie w rodzinie zdarzają się nadprzyrodzone zdolności. Co któraś kobieta ma trzecie oko, które czeka tylko, aby je otworzyć. Nie wiem, czemu tylko kobiety. Może dlatego, że u mnie w rodzinie jest ich więcej niż mężczyzn. Jako dziecko miałam trzy babki i tylko jednego dziadka. Nie, żeby któraś była lesbijką, po prostu prababka się dobrze trzymała.

No tak, rozmowna to pani nie jest. A w ogłoszeniu stała rozmowa jak byk! Zamilkła na chwilę. Amandzie zdawało się, że słyszy, jak dziewczyna po drugiej stronie pije coś i przełyka.

To co? Pomoże mi pani otworzyć to trzecie oko? Nie powinno być tak trudno. Moje to i tak już trochę chyba podgląda. Nie że-bym widziała duchy, ale u sąsiadów na polu widziałam kiedyś stado królików, jasnych i ciemnych. Może nie byłoby w tym nic dziwnego, tyle że wszyscy twierdzili, że ich tam nie ma. Jako dziecko miałam królika. Nie żył niestety zbyt długo. Patrzyłam, jak umierał. Leżał w klatce i dyszał, jakby do śmierci jego biedna duszyczka musiała szybciuć dobiec. Miałam wtedy jednego kolegę. Nigdy nie byłam zbyt towarzyska. Opowiedziałam mu o króliku i o tym, jak się pod koniec męczył. Stwierdził, że trzeba było go dobić. On by mi chętnie pomógł, rzekomo się na tym bardzo dobrze znał. „Trzeba chwycić za uszy i mocno szarpnąć, tak żeby się kark złamał” wytłumaczył mi i nawet zaprezentował, jak szarpnąć, oczywiście bez królika. Zapewniam panią, że byłam zszokowana jego umiejętnościami.

No a pani? Widzi pani duchy?

Nie powie mi pani? Bawimy się w terapeutę? Ja tu naprawdę liczyłam na rozmowę. No może trochę też na jakąś przepowiednię.

Im gorsza, tym lepiej.

No ale nic. Ja już będę kończyć. I tak nie lubię rozmów telefonicznych.

Amanda milczała. Nie chciała, żeby dziewczyna się rozłączyła, ale coś powstrzymywało ją przed odezwaniem się. Być może stała się więźniem własnych zasad. Pierwszy raz poczuła, że nie milczy z wyboru, ale nie ma prawa mówić.

No to do widzenia. Dobranoc. Oby się pani przyśniło coś miłego. U mnie ostatnio same końce świata. Niech mi pani życzy, żeby dziś nic mi się nie śniło. Albo nie musi pani. Mniejsza o to. Dobranoc.

V. Środa

Ludzie chodzący do pracy, uczący się, studiujący narzekają na monotonię, ustalone harmonogramy, które regulują ich życie. Tymczasem największymi więźniami rutyny są osoby samotne, zamknięte w domach. Oni sami planują swoje dni w najmniejszych szczegółach, ze strachu przed pustką beczynnych godzin.

Marta dzwoniła co środę. Punktualnie o szesnastej. Zawsze udawała, że to pierwszy raz.

Znalazłam pani numer w gazecie. Trochę się wahałam, ale stwierdziłam „a co mi tam”.

Mam nadzieję, że podjęła pani dobrą decyzję.

Chodzi o rozmowę, prawda? Taką od serca? Ja, widzi pani, mam ostatnio problem z mężem.

Znała zasady. Nie oczekiwała od Amandy odpowiedzi.

W zasadzie to zawsze mieliśmy problemy. Wcześniej wzięliśmy ślub. Oboje za młodzi. Z innych światów. A już jak zaczął pić, to się wszystko posypało. A teraz, niech sobie pani wyobrazi, mnie oskarża, że niby piję. Mnie! Wyobraża pani sobie? Bo on niby taki święty. Do kościoła kiedyś poszedł, przed Marią Panną zaślubował

i od tamtej pory tylko piwko czasami wypije i to niskoalkoholowe i od razu mu się zdaje, że wszystkie grzechy odpuszczone. A chlał tak, że do domu w nocy nie trafiał. Jak zaczynał w środę, to kończył za tydzień. Klin na klina i tak dalej. I teraz mi śmie wmawiać, że jestem alkoholizką, bo co? Bo sobie czasami drinka zrobię? No rany boskie, żeby dorosły człowiek drinka sobie nie mógł wypić.

Ostatnio się mnie pyta, co to za sukienka, w której chodzę. Mówię mu, że na tandecie kupiłam. Taki drobiażdżek, parę groszy. A on od razu z gębą, że jego ciężko zarobione pieniądze na pierdoły wydaję. Jakie jego pieniądze, się pytam. W końcu jesteśmy małżeństwem, mi się chyba też coś należy. To on zaraz, że całe życie nie pracuję, siedzę w domu jak ten leser, nawet obiadu nie ugotuję. Nie miałam nawet siły tłumaczyć, bo ileż można, że przecieź chora jestem i to od lat. Sama sobie takiego losu nie wybrałam.

Głos kobiety podniósł się gwałtownie, jak zwykle w momencie, kiedy zaczynała płakać.

No i jeszcze ta córka. Z córką coraz gorzej. Co ja mam jej powiedzieć? Jak niby mam dziecku wytłumaczyć, że nigdy jej nie kochałam, bo mnie własny mąż zgwałcił? Zmęczona leżałam po porodzie, sparaliżowana, a on mnie wziął siłą!

No widzi pani. Same złe rzeczy. Tak się to życie układa. A ja tylko miłości chciałam. Radości. Dobrych ludzi wokół.

Przynajmniej panią mam. Pierwszy raz ktoś naprawdę mnie słucha. Tak sobie pomyślałam nawet, że może mogłybyśmy się spotkać i naprawdę porozmawiać? Co pani myśli? Jakbym tak na przykład panią odwiedziła? Albo na odwrót. Mi wszystko jedno.

Amanda milczała. Miała nadzieję, że Marta sama zarzuci pomysły i zacznie kontynuować opowieść.

Halo? Mogłaby się pani czasem odezwać, jak boga kocham, człowiek się jak wariat czuje, jakby do ściany gadał.

To niemożliwe.

No jak niemożliwe? Przecież właśnie pani coś powiedziała.

Chyba tak ciężko nie było?

Nie możemy się spotkać.

Po obu stronach zaległa cisza. Po chwili połączenie zostało zerwane. Amanda nie potrafiła stwierdzić, czy zrobiła to ona, czy kobieta po drugiej stronie. Wyjęła papierosa z paczki i zapaliła. Zaciągając się dymem, patrzyła na telefon odłożony na nocny stolik. O co jej właściwie chodzi? Jaki miała plan, zamieszczając ogłoszenie w gazecie? Już od dłuższego czasu czuła, że nie ma pojęcia, co robi.

Chwyciła za słuchawkę i zaczęła wykręcać numer do Agnieszki. Poczowała nagłą potrzebę usłyszenia znanego głosu, prowadzenia normalnej rozmowy. Rozłączyła się po pierwszym sygnale. Wiedziała, że sama nie zacznie mówić, a na wysłuchiwanie kolejnej osoby nie miała siły.

VI. Piątek

Chociaż minęła już dwunasta, nadal pozostawała w łóżku. Jadła herbatniki i popijała letnią herbatę. Próbowała czytać, ale zrezygnowała po kilku stronach. Próbowała znaleźć powód do wstania, ale im dłużej nad tym myślała, tym bardziej była przekonana, że równie dobrze może pozostać przez cały dzień w sypialni.

Rozglądała się po pokoju. Niespiesznie przeczesywała wzrokiem półki z książkami, oglądała meble z ich najdrobniejszymi szczegółami. To dziwne, że nigdy nie czuła potrzeby przemeblowania mieszkania. Zwykle ludzie co jakiś czas chcą zmiany, domagają się jej jak powiewu świeżego powietrza po długiej, wypełnionej smogiem zimie.

Po południu poszła do kuchni, odgrzała krokiety przywiezione w weekend przez Agnieszkę i zalała w kubku barszcz z saszetki. Jadła domowe krokiety zaledwie kilka razy w życiu. Pierwszy raz na stypie brata swojej matki. Była wtedy małą dziewczynką.

Siedziała na stolku w kuchni i obserwowała jak kobiety przygotowują jedzenie, którym żalobnicy mieli zjadać smutek i zagryzać wyciekające z głębi pamięci wspomnienia. Ciotka Agata nakładała farsz z mielonego mięsa do naleśników, zwijała je w zgrabne rulony i panierowała jak kotlety, a potem smażyła po kilka w głębokiej patelni. Amanda nie chciała ich spróbować. Była pewna, że naleśniki można jeść tylko na słodko. Czuła się oszukana. Jakby ktoś podsuwał jej pod nos szarlotkę z pasztetem.

Trzeba próbować nowych rzeczy, w końcu jesteś już dużą dziewczynką, mówiła jej wtedy mama. Może w tym tkwił problem i źródło jej niechęci do zmian. W fakcie, że nigdy nie była dużą dziewczynką.

Zabrała jedzenie do salonu. Usiadła na kanapie, owinęła się szczelnie szlafrokiem i włączyła telewizję. Przebiegała po programach, w których popołudniowe luki w oglądalności wypełniane były powtórkami seriali i wszelkiej maści reality show. Zatrzymała się na moment na dokumencie o miniaturzystach, którzy spędzają większość swojego życia, pracując nad modelami świata. Tworzą miasta i kraje, których nie widzieli nigdy na oczy, tak aby inni mogli zwiedzić je w całości podczas kilkuminutowego marszu wokół makiety. Kamera pokazywała z bliska małe domy, samochody i ludzi z krzemionki. Przesuwała się nad sztucznymi korytami rzek wypełnionymi wodą. Okrężała oświetlone niewielkimi neonami drogi i tory, po których sunęły pociągi towarowe. Ich wagony zostały nawet sztucznie pobrudzone, by do złudzenia przypominały swoje oryginały.

W mieszkaniu rozległ się dźwięk dzwonka. To nie mogła być Agnieszka. Zawsze informowała z wyprzedzeniem, jeśli miała przyjść w inny dzień niż sobota. Chyba, że coś się stało?

Amanda zeszła z kanapy i podeszła do drzwi. Dzwonek zabrzęczał ponownie. Z wahaniem wyciągnęła rękę w stronę klamki. Pomyślała o Marcie, która zaproponowała jej podczas ostatniej rozmowy spotkanie. Ale przecież odmówiła. Poza tym, skąd niby

miałaby jej adres?

Przed wejściem stała młoda kobieta ubrana w szary płaszcz, który podkreślał jej smukłą sylwetkę. Na twarzy otoczonej pasmami prostych włosów o bordowym odcieniu malował się dziwny wyraz. Przez zdziwienie przebijały się resztki złości, z którą dziewczyna musiała czekać na Amandę.

Dzień dobry.

Dzień dobry, dziewczyna próbowała odzyskać rezon. Przybrała neutralny wyraz twarzy, ale uciekała wzrokiem, jakby na karlicę nie można było patrzeć, żeby czasem nie zostać oskarżonym o gapienie się. Czy pani ma na imię Amanda?

Tak.

I prowadzi pani, no nie wiem, jak to nazwać. Dzwonią do pani różni ludzie, tak? Tacy, którzy znaleźli pani ogłoszenie w gazecie?

Zgadza się. A o co chodzi? Może pani wejdzie? Amanda odsunęła się na bok i wpuściła dziewczynę do środka. Zapraszam do kuchni, nie trzeba ściągać butów. Mam nadzieję, że nie ma mi pani za złe, że jestem w szlafroku.

Nie, oczywiście.

Coś do picia? Dziewczyna usiadła na krześle, a Amanda podeszła do blatu, żeby nastawić wodę.

Nie, dziękuję. Ja tylko na chwilę. Przyszłam w sprawie mamy. Amanda odłożyła czajnik.

Ma na imię Marta. Dzwoni tutaj, prawda? I to chyba dość regularnie.

Tak. Jeśli mogę spytać, skąd pani ma mój adres?

No nie ukrywała się z nim pani zbyttnio. Mama miała zapisany razem z numerem konta. Ale to teraz nieważne. Chodzi o to, dziewczyna nabrała powietrza w płuca. Przypomniała sobie widocznie, z czym przyszła i chwilowo stłumiona irytacja znów w niej rosła. Chodzi o to, że chciałam panią prosić o zostawienie mojej matki w spokoju. Co pani sobie tak w ogóle myśli? Dzwonić

po ludziach, mieszać im w głowach?

To nie ja dzwonię. Oni dzwonią do mnie.

To nie ma znaczenia. Wie pani, że moja matka jest chora? W sensie chora psychicznie. Zdaje sobie pani sprawę, jak na nią takie rzeczy wpływają? Ona wierzy w każde pani słowo. Potem robi awantury. Twierdzi, że tylko pani ją rozumie. Że niby ustaliliśmy, że mąż nad nią się całe życie znęcał, a my odnosimy się do niej z wyższością. Wydaje nam się, że skoro jest chora, to można ją traktować jak głupią, jak dziecko. Dobrze się tak innych osądza, co? Pani nie wie, jaka ona jest. Wczoraj znowu wpadła w histerię, że niby ją pani zdradziła, że jej pani nienawidzi. To już było dla mnie za wiele. Telefony, telefonami, ale żeby jeszcze z tego kolejne problemy powstawały. Tego nie mogłam zdzierżyć. Dlatego przysłałam. No i co? Nie ma pani nic do powiedzenia?

Ja nic takiego pani mamie nie mówiłam. Nie chciałam też, żeby poczuła się skrzywdzona. Po prostu nie zgodziłam się na spotkanie.

No pewnie. Wyciąganie z ludzi informacji przez telefon owszem, ale spotkać się to już niełaska.

Tu nie chodzi o wyciąganie informacji. Amanda była zdziwiona, że powiedziała to tak cicho. Czowała w sobie agresję. Chciała sprzeciwić się dziewczynie. Zdecydowanie odepchnąć jej niesłuszne oskarżenia.

Osoby takie jak pani Marta dzwonią do mnie, bo to im pomaga. Nie mają do kogo się zwrócić.

Kobieta zaśmiała się krótko. No jasne. A pani biegnie im na ratunek.

Nieważne. Nie będę się wyklócać. Po prostu proszę więcej nie dzwonić do mamy. A tak – pokiwała głową, kiedy zobaczyła, że Amanda otwiera usta – to ona dzwoni. Więc proszę nie odbierać telefonów. Nie chcę więcej słyszeć o żadnych rozmowach. Jeśli to się powtórzy, jak boga kocham, pozwę panią o wyłudzenie pieniędzy.

Ostatnie słowa zabrzmiały jak wypowiedziane przez Martę. Dziewczyna wzięła płaszcz z oparcia krzesła i skierowała się

w stronę drzwi.

Właściwie to nie dziwię się, że nie chce się pani z nikim spotykać, powiedziała, stojąc już w progu, częściowo odwrócona tyłem. Co by pomyśleli sobie ci wszyscy biedni ludzie, jakby się dowiedzieli, że ktoś taki jak pani mówi im, jak mają żyć? Proszę dać im spokój i zająć się swoimi problemami.

Amanda wróciła do salonu. Wyciągnęła kabel od telefonu z kontaktu i wyłączyła słuchawkę. Usiadła na kanapie. Po programie o modelarzach zaczął się film. Na ekranie młoda pielęgniarka opowiadała coś milczącej kobiecie, po czym włączyła radio i wyszła, zostawiając pacjentkę samą w pokoju. Muzyka grała, za oknem się ściemniało, kobieta westchnęła ciężko i ukryła twarz w dłoniach.

Telefoniczny teatrzyk terapeutyczny //Adam Partyka

Na pierwszy rzut oka opowiadanie Laury Grad wydaje się wpi-
sywać w łatwą do rozpoznania konwencję narracyjną – ta, która
przyjmuje zwierzenia osób sfrustrowanych swoją samotnością,
okazuje się być najbardziej samotną z nich; ta, która wysłuchuje
cudzych historii, najbardziej sama chciałaby być wysłuchana. Mam
jednak wrażenie, że w *Widoku z okna* są jeszcze co najmniej trzy
warte uwagi poziomy, na których znaczenia – co najbardziej mi się
podoba – ujawniane są na planie całości, nie zaś w wydzielonych
miejscach.

Pierwszy ujawnia się gdy zobaczymy, że rozmowy telefoniczne
Amandy nie są sytuacjami zwyczajnej komunikacji – wypowia-
da się właściwie tylko jedna strona, a wszystkiemu towarzyszy
dziwaczny układ ról i pozorów. Marta, choć dzwoni regularnie,
zawsze udaje, że to pierwszy raz. Marcin, wyraźnie się wstydząc
telefonu, zaznacza wyraźnie, że numer znalazł w gazecie, nieja-
ko przypadkiem. Natalia – jakkolwiek brzmi jej prawdziwe imię
– ciągle ironizuje na swój temat i nerwowo tematyzuje własne
zachowanie, próbując sprawić wrażenie zdystansowanej do samej
siebie i obrócić całą sytuację w samoświadomą, cyniczną zabawę.
Rozmowy te przypominają grę – teatrzyk terapeutyczny, w któ-
rym zgodnie występują Amanda i jej „pacjenci”, ponieważ – choć
żadne z nich nie byłoby skłonne się do tego przyznać – bardzo
tego potrzebują.

Jeśli rzeczywiście chodzi tu o pewnego rodzaju terapię, to od-
bywa się ona na specyficznych zasadach – Amanda nie udziela
nikomu rad; nie oferuje żadnego rodzaju pomocy oprócz samej
zgody na wysłuchanie rozmówców. Nikt też więcej nie oczekuje.
Można poprzestać na – trochę banalnym – stwierdzeniu, że wy-
starczy po prostu wyrzucić z siebie tłumione i tajone przed innymi

emocje, żeby poczuć się lepiej, a każdy z nas skrycie pragnie jedynie odrobiny nieosądzającej uwagi. Można też jednak pójść trochę dalej i zauważyć, że tego rodzaju terapia polega w gruncie rzeczy na potwierdzaniu – emocji, postaw, opinii. W takim samym stopniu, w jakim jest – z pewnością – dobroczynna i potrzebna, jest też potencjalnie niebezpieczna, bo popychająca „pacjenta” głębiej we wszystkie emocjonalne skrajności, światopoglądowe ekstrema i biegunowe modele postaw. Milczące potwierdzenie to bowiem także przyzwolenie, a wypowiedziana na głos myśl zyskuje legitymizację w osobie słuchającego, który przecież nie zgłosił uwag.

Na drugim poziomie opowiadanie jest dojmującą ilustracją destrukcyjnego działania winy i resentymentu. Co prawda Amanda jest wrózką tylko na zasadzie potocznego skojarzenia, a gwiazdy i natura zostają przywołane tu jedynie prześmiewczo, podczas „wrózenia” z programu telewizyjnego i konstelacji nagród filmowych. Kategoria losu nie jest w opowiadaniu jednak całkiem nieobecna – przeznaczenie, które zazwyczaj jest dziełem sił nadprzyrodzonych, tu pojawia się w postaci niemożliwej do przezwyciężenia logiki żalu, urazy i poczucia winy.

Agnieszka wciąż żyje w cieniu tego, czego od swojej biografii oczekiwała, a co nie zostało spełnione. Marcin, który czuje się winny – i nie ma to znaczenia, że tak naprawdę nie jest bezpośrednim sprawcą niczyjej śmierci – rozwiązania upatruje jedynie w karze, która miałaby zdjąć z niego ciężar. Marta ma ogromny żal wobec swojej córki, którą obwinia o niewdzięczność graniczącą ze zdradą – rozumianą nie w kategoriach wierności, lecz pewnej lojalności rodzinnej, której idea żywi się tradycyjnym sposobem postrzegania hierarchii pokoleniowej i autorytetu rodzicielskiego. Jej córka zaś uwikłana jest w jeszcze inny afekt – żywi wobec matki tak głęboką niechęć i urazę, że nie potrafi normalnie się z nią komunikować ani przyjąć postawy empatii – w tej samej zresztą sytuacji jest Amanda. Żadne z nich nie może wyplątać się ze swojej sytuacji ani

nie potrafi skonceptualizować jej poza jakąś na poły metafizyczną logiką odkupienia czy sentymentalną retoryką krzywdy. W tym pluralistycznym świecie prywatnych sentymentów wszystko staje się względne, subiektywny punkt widzenia okazuje się niemożliwy do przekroczenia, a wszelkie możliwości komunikacji zostają zawieszane.

Można w końcu zapytać – i to jest poziom trzeci – jak odbywa się w opowiadaniu społeczny proces określania standardów normalności. Nie wiemy, czy Marta rzeczywiście jest chora, czy jest to tylko zdanie jej córki, którą wypowiedziała matce wojnę. Tej samej córki, która – co może być symptomatyczne – stosuje tę samą strategię, gdy zwraca uwagę na upośledzenie Amandy, chcąc zdeprecjonować jej pracę. Samo zresztą pytanie o to, jak określić ramy choroby, pozostaje otwarte, a Michel Foucault powiedziałby, że pojęcie karłowatości – jako przykład patologii, dewiacji czy odchylenia od normy – potrzebne jest instytucji wiedzy medycznej tylko po to, by określić granice „zdrowego” wzrostu.

Myślę, że nie oddalimy się zbyt daleko od tematu, jeśli zapytamy też, czym różnią się rozmowy telefoniczne bohaterki od pracy psychologa – takiego „prawdziwego”. Już czujecie, co się za tym cudzysłowem kryje? Pytanie pozostawiam otwarte.

Adam Partyka (ur. 1994 r.) – kognitywista, kulturoznawca, krytyk literacki i teatralny. Współpracuje z portalem e-teatr w ramach projektu Nowa Siła Krytyczna. Członek Kolektywu Kuratorskiego i reaktor bloga przy festiwalu Miesiąc Fotografii.

presila grzymek

(ur. 1992 r. w Rzeszowie) - ukończyła studia polonistyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim. Pracuje w Młodzieżowym Ośrodku Socjoterapii, gdzie uczy języka polskiego i prowadzi zajęcia z Poezjoterapii. Doktorantka na Wydziale Polonistyki UJ. Mieszka w Warszawie.

Z MIASTA

GRUBA JOLKA

Ojciec nadal mawia, że gruba Jolka zaradną kobietą była. Mieszkała w kamienicy po tej samej stronie ulicy, co my. My pod trójką, ona pod piątką. W zasadzie dzieliło nas tylko jedno wejście. Jedne drzwi dalej w stronę rzeki, co w sumie często było powodem niespodziewanych u nas odwiedzin, najczęściej w środku nocy, choć za dnia też się zdarzało. Łatwo co poniektórym było pomylić się o te jedne drzwi, na przykład jak ktoś się zapędził czy nie dopatrzył.

Każdy w mieście znał psa grubej Jolki. Miał na imię Rejtan i latał od baru do baru, gdzie z powodzeniem był dożywiany, a spać pasowało mu najbardziej w poczekalni u Tadzka, fryzjera męskiego na rogu Jordana. Tadziu nigdy nie wypraszał psa, choć zwierząt nie szanował. Gruba Jolka mówiła, że chociaż nie jest to kot, to coś z kota ma, i tak samo jak ona jest wolnościowy. Nikt wprawdzie nie wiedział, co miała na myśli, mówiąc to, a mówiła często, bo nikt nigdy nie widział jej poza domem czy ewentualnie balkonem, gdzie spędzała całe dni, przesiadując w olbrzymim pikowanym, bordowo-zielonym fotelu, który dostała od pierwszego męża. Matka opowiadała, jak przez podwórko, żeby wszyscy widzieli, mąż jej wioził mebel na pożyczonym od Rydzów wózku do złomu. Potem wszyscy sąsiedzi przychodzili do nich próbować, czy wygodny. Mąż grubej Jolki nie powiedział wtedy, gdzie kupił fotel, tylko wieczorem mówił coś, że przywiózł od Górala ze Śródmieścia, bo co ma się tam marnować, jak i tak nikt już używać nie będzie. Potem Zdzisiek zza ściany powiedział, że Góral zapił na amen, więc panowie robili czystki. Grubej Jolce dostał się fotel, ale też dużo różnych innych rzeczy było. Ania od Kani wzięła sobie

choćby dywaniki łazienkowe, bo zachowały się w dość dobrym stanie i z włosia długiego były, a Szklarz zabrał pościel, wprawdzie niewyprana, ale co to komu przeszkadza.

Andżelika z dołu pamięta, jak wracała ze szkoły i gruba Jolka zawołała ją na balkon, co nie znaczy, że do domu, bo balkon był taki, że wchodziło się na niego z klatki schodowej. Był długi na całą szerokość kamienicy. W rogu stał fotel. Na nim siedziała gruba Jolka. Za nią był wychodek. Taki wspólny ustęp na każdym piętrze, choć wtedy już wszyscy poza grubą Jolką i jej pierwszym mężem mieli ubikację w domu. U nich jednak się nie przyjęła. No więc Andżelika poszła, jak ją wołano, na co po wejściu usłyszała: „hał ar ju?” i „łoc jor nejm?” i „hał old ar ju?”. Gruba Jolka uczyła się angielskiego. Zawołała Andżelę, żeby jej odpowiedziała, ale ta nie wiedziała jak. Później przez miesiąc każdy, kto przychodził na balkon dostawał pytanie. Grubą Jolkę bardzo śmieszyło, że nikt z osiedla nie potrafił jej odpowiedzieć. Potem ją znudziło, że tylko ona zna język obcy i przestała się dalej uczyć, choć kieszonkowe rozmówki polsko-angielskie ciągle leżały na kastliku obok pikowanego fotela, gdzie kładła jeszcze inne, różne rzeczy. Miała tam na przykład małe radio antenowe, które potem zamieniła na odtwarzacz, ponoć też z czystek, ale nie wiadomo już było od kogo, z którego ciągle leciało: „Kochana Polsko dzięki za mądrość, choć idę pod prąd”. Płytę przyjęła wraz ze sprzętem. Ktoś widocznie zapomniał ją wyciągnąć. Albo nie zdążył.

Gruba Jolka była zaradna i gospodarna. Tradycję produkcyjną i żyłkę do biznesu przejęła po matce, tak przynajmniej mawiała, co czyniło ją jeszcze bardziej poważaną. Nie byle kto i zna się, mówili. Produkowała wszelakiego rodzaju alkohol etylowy, od wybornych i lekkostrawnych miódówek, po ciężkie gorzkie żołądkowe i mieszaniny azeotropowe. Była fachowa, wręcz miarka w ręce, wszyscy się zapijali, zwłaszcza jej mąż. Ona sama piła niewiele, tylko degustacyjnie. Pierwszy mąż grubej Jolki w dwa tysiące czwartym

poszedł na tory. Rzucił się pod pociąg przy ostro zakręcającym wyjeździe z tunelu. No nie było jak hamować, mówili. Gruba Jolka nawet nie płakała, gadała, że skoro skurwiel ją zostawił, to znaczy, że słaby był i babą zając się należycie nie potrafił, a jej takiego lili-puta nie potrzeba. Pół roku później stała już na ślubnym kobiercu urzędu stanu cywilnego w tej samej sukni co za pierwszym ślubem. Wyszła za brata swojego pierwszego męża, akurat dobrze się złożyło, bo Kazik wyszedł z więzienia, a do wcześniejszej partnerki i dzieci już nie miał po co wracać. Ułożyli sobie życie w nowej rodzinie.

Z uwagi na profesję grubej Jolki w kamienicy często dochodziło do interwencji policji. Wszyscy lubiliśmy oglądać to plenerowe kino zazwyczaj odbywające się przy piątku. Najlepiej było z balkonu naszej kamienicy, mieścił całe piętro sąsiadów. Zdżisieł zza ściany, jak tylko dojrzał policyjne koguty, a on widział je najprędzej, bo miał okno pokoju od strony podwórka, pukał sygnalizująco w ścianę, co oznaczało, że na dole coś się dzieje. Raz, kiedy zapukał w ścianę, którą dzielił z naszym dużym pokojem, na wspólne podwórko zajechały dwa radiowozy i pogotowie. Okazało się, że z balkonu grubej Jolki wypadł sąsiad, pan Benek. Ale że piętro było tylko drugie, to nic mu się nie stało, potłukł się trochę, nie połamał. Każdy się zastanawiał, jak do tego doszło, że Benek wypadł. Niskiego był przecież wzrostu, a prania nigdy nie wieszał, bo i pralki nie miał. Koledzy mu wynieśli. Jedyne co robił, to zanościł brudy do matki o dwie kamienice dalej, dwa razy w miesiącu. Więc jak wypadł? Nie wiadomo do dziś. Nawet policji nie udało się ustalić, choć mówią, że próbowali. Później tylko, kiedy ojciec spotkał Benka w Społem, ten, wykładając na ladę puszki zebrane z całej okolicy, powiedział, że tak to jest, jak się za długo w zeszycie figuruje w czerwonej tabelce.

Zeszyt gruba Jolka prowadziła, nie powiem, leżał zawsze na kastliku obok radia i rozmówek polsko-angielskich. Ewidencję

prowadziła od dziewięćdziesiątego szóstego. Później tylko śmiała się zawsze, że na każdego coś ma, nawet na tych, co już nie żyją. Miała nawet brata matki, co powiedziała dopiero jak umarł, że przychodził do niej jako jeden z pierwszych i że szkoda, że z taką meliniarą się ożenił, bo to od niej wszystko się zaczęło, łącznie z jego piciem, a dzieci zabranych do bidulca już nikt nie wróci.

Raz któryś, kiedy Andzia wracała ze szkoły, gruba Jolka zawołała ją na balkon. Rozpytywała, co Andzia zamierza i czego się uczy. Kiedy powiedziała, że chodzi do mleczaka, a po szkole chciałaby pracować w restauracji, gruba Jolka opowiedziała jej historię, o jakiej nikt jeszcze nie słyszał. Podobno po tym zdarzeniu zdecydowała się rozkręcić własny produkcyjny biznes.

Mateusz, jedyny i nieślubny syn grubej Jolki, miał siedem lat, kiedy ona pracowała w Lazurowej. Byli tylko we dwójkę. Gruba Jolka pomocy nie miała znikąd, a jeszcze dziecko na wychowaniu, więc łatwo nie było. Szkołę ukończyła tę samą co Andżela, tylko że wieczorowo i dwadzieścia lat wcześniej. Lazurową prowadził wtedy jeden z nauczycieli gastronomiki. W knajpie tej w czasie szkoły gruba Jolka odbyła praktyki, a właściciel stwierdził, że się nadaje i pojęcie ma, więc robotę dostała. Lazurowa była miejscem na miarę kultowej bohemy. Wieczorami zwłaszcza przychodziły do restauracyjnej sutereny różne osobistości. Lokal upodobali sobie głównie miejscowi policjanci. Sierpniowego wieczora obchodzono tam urodziny komendanta komendy wojewódzkiej. Leszek, bo tak mu było na imię, wypić lubił. Niski i krępy mężczyzna z wąsem i lekko zaczerwienioną twarzą tego dnia miał nadzwyczaj dobry humor. Było to zapewne spowodowane niespodzianką, jaką przygotowali mu jego koledzy. Po całej litrowej do sutereny weszła kobieta o wschodniej urodzie i galicyjskim zaśpiewie. Pani Maria, barmanka, żona właściciela, włączyła muzykę. W głośnikach rozbrzmiało *Roxanne* Stinga. Barmanka biegała po sali, zasłaniając szmatami boczne lampy żeby zrobić klimat, choć i tak wszystko na

dobrze zaczęło się wtedy, gdy kobieta o wschodniej urodzie zdjęła majtki tuż przy twarzy komendanta. Maria i jej mąż nie pomyśleli jednak, że na kuchni z okienkiem na salę siedzi gruba Jolka z siedmioletnim synem, który, jak co wieczór, czekał aż mama skończy zmianę. Mateusz dopytywał, co tam się dzieje, czemu tak krzyczą, co to za pani piszczy na stole, czemu jest tak ciemno. Gruba Jolka mówiła tylko, że w sali zepsuło się światło i dawała synowi ciasto z pizzy do lepienia, żeby się czymś zajął i przypadkiem nie wychodził z kuchni. Od wtedy gruba Jolka poprzysięgła sobie, że już nigdy dziecka na takie sceny nie narazi i założyła własny biznes, do czego równie entuzjastycznie nakłaniała Andżelę, oferując pomoc merytoryczną i takie tam.

Mateusza, syna grubej Jolki, nikt nigdy nie widział. A opowieść z Lazurkowej przywołała tylko przy Andżeli.

Z grubą Jolką łączyło nas bliskie sąsiedztwo i ułożenie mieszkania. Kamienice, w których zamieszkiwaliśmy, były bliźniacze, o wspólnej ścianie bocznej. Mieszkanie nasze znajdowało się w tym samym miejscu, co mieszkanie grubej Jolki, tylko że w kamienicy obok. Stąd częste odwiedziny zaopatrujących się w przydomowym monopolowym, jak nazywano lokal pod piątką. Źle znosił te wizyty mój ojciec. Jako człowiek nerwowy i nieposkromiony często i szybko wpadał w niepohamowaną złość. Pewnego dnia, to chyba była zima, po kolejnej odwiedzinowej nocy, ojciec przyniósł do domu siekierę i włożył w szczelinę pomiędzy lodówką a ścianą. A że nie mieliśmy przedpokoju, tylko z klatki schodowej od razu wchodziło się do korytarzo-kuchni, tak od lodówki do drzwi wejściowych było zaledwie pół metra. Pomiędzy był tylko dwukomorowy zlew z szafką i koszem na śmieci. Ojciec był spokojny i zadowolony. Czekał na nieproszonych gości. Nie zdążył się jednak zniescierpliwic. Już następnego dnia, nad ranem, ktoś krótko i trzykrotnie zadzwonił naszym dzwonkiem. Ojciec cicho wyszedł z dużego pokoju, gdzie spał z matką. Podszedł do

lodówki i ze szczeliny wyciągnął siekierę, przeciągając nią po kuchennych płytkach. Otworzył z łańcuszka drzwi wejściowe i wysoko zamachnął się, zatrzymując topór przy szyi nieznanego. Ojciec powiedział tylko, że zabije go, jeśli ponownie nas najdzie, i że ma spierdalać. Człowiek ten zemdłał, ale wcześniej niechcący zabrudził całe spodnie. Nie jestem pewna, czy zdążył coś ojcu odpowiedzieć. Chyba nie. Rano człowieka już nie było. Największym problemem stała się jednak jego sprzed kilku godzin niespodziewana reakcja. Nie mieliśmy bowiem w kamienicy pani sprzątajacej. Kto by przypuszczał, że aż tak się przestraszy.

Po miesiącu nie było już żadnych pomyłek.

OJCIEC

Ojciec mój nerwowym i niepokornym człowiekiem był, szybko i często wpadał w niepohamowaną złość. Choć starał się bardzo, co zawsze matka pierwsza zauważała i podkreślała. Zabraniał mi chodzić od strony wspólnego podwórka. Mieliśmy jeszcze jedno wejście do kamienicy od głównej ulicy. Nawet do babci chodziłam na około, choć od podwórka było bliżej. Ojciec zawsze patrzył przez okno, którędy idę. Od podwórka mógł chodzić tylko on, matka nie. Śmieci wynosił tylko on. Do łady samary schodził tylko on, a potem zajeżdżał przed wejście od głównej ulicy, gdzie wsiadałyśmy z matką. Było to wszystko wprawdzie nie bez powodu.

Pamiętam jak razu pewnego do rodziców przyjechali zaprzyjaźnieni Rychu z żoną Bachą i córką Wiołą nazywaną raczej przez nich Bułą. No więc z Wiołą bardzo się lubiłyśmy. Nasi rodzice najczęściej spotykali się w weekendy. Spotkania zaczynały się w piątek, kończyły w niedzielę, a Rychu z Bachą i Bułą wracali do swojego mieszkania. Podczas jednych takich odwiedzin postanowiłyśmy z Wiołą samowolnie wyjść na podwórko. Mama Wioli,

którą nazywałam ciocią, przywiozła mi w prezencie sprzęt do piaskowych budowli. Pomyślałam sobie jakoś tak, że Bule będzie przykro, jak nie wypróbujemy nowej koparki i bardzo pojemnego wiaderka w kształcie serca. Ustaliliśmy, że po wybudowaniu zamku wracamy do domu. Wyjście nie było wcale takie trudne. Pokój mój był pierwszym w korytarzo-kuchni od drzwi wejściowych. Ledwie zdążyliśmy wyjść na dwór, gdy naszym oczom ukazał się niespodziewany widok. Ludwik, sąsiad grubej Jolki, siedział na ławce tuż przy piaskownicy, a na nim okrakiem siedziała Danuta z zaciągniętą do góry spódnicą, co odsłaniała jej nagie pośladki. Kobieta podskakiwała na biodrach Ludwika, śmiejąc się głośno i coś dogadując. Zanim zdążyłam cokolwiek pomyśleć, Wiola z płaczem biegła do mieszkania. Miałam jednak nadzieję, że nie powie nic memu ojcu, bo obawiałam się kary za potajemne wyjście. Niestety, stało się inaczej. Gdy tylko przekroczyliśmy próg domu, oni czekali na nas. Buła ze szlochem opowiedziała wszystko, co zobaczyła. Ledwie kończyła mówić, gdy ojciec mój zakładał trampki i zbiegał już po schodach na podwórko. Ludwik pewnie źle wspomina to spotkanie, nie mówiąc nawet o Dance. Po niedługiej chwili wrócił do domu.

Tak jak przypuszczałam, nie obyło się bez kary.

– A teraz zejdziesz na dół, weźmiesz swoje nowe wiaderko od cioci i zasypiesz piaskiem te czerwone plamy przed ławką. Możesz iść, śmiało, pozwalam ci. Na dole już nikogo nie ma – spokojnym, miarowym głosem powiedział ojciec.

Od tamtego zdarzenia już nigdy nie mogłam chodzić przez podwórko.

W domu naszym zasady były twarde. Ojciec zawsze przestrzegał tego, byśmy też je przestrzegały. Był surowy, co wcale nie znaczy, że zły. Zawsze tylko powtarzał, że życia nauczyła go ulica i wyszedł na tym dobrze, bo jako jedyny się nie rozpił i rodzinę założył jak trzeba. Najbardziej zadowolony był, kiedy udało nam

się zmienić mieszkanie, właśnie na to w sąsiedztwie grubej Jolki. Wcześniejsze było mniejsze, jednopokojowe, tyle że z dużą kuchnią, gdzie stała dodatkowa wersalka i stary kaflowy piec. Pamiętam, jakie to było wtedy wydarzenie, aż mnie do notariusza zabrali, jak szli dokumenty podpisywać. Wtedy u notariusza był też poprzedni lokator, miłym nawet człowiekiem się wydawał, choć ręce mu się trzęsły niemiłosiernie, że nie mógł długopisu utrzymać, jak wypełniał papiery. Wtedy nie wiedziałam dlaczego, teraz już wiem. Miał tylko jedną prośbę, żebyśmy się kotem opiekowali, co zostawił w mieszkaniu, bo mówił, że nie będzie miał go teraz gdzie zabrać, a kot dobry, bo łowny i w życiu żadnej myszy nie popuścił, a tych to w kamienicy niestety mnóstwo. Mówił, że na tyle łowny, że nawet go karmić nie trzeba, a jak już karmić to tylko chlebkiem w mleku rozmoczonym, bo tak najbardziej lubi. Jak wychodził, to odwrócił się tylko i powiedział do ojca, „jakby kto pytał, to będę na Stykach”. Na Stykach była wtedy jedyna w mieście noclegownia dla bezdomnych.

DZIECI Z CENTRUM

Dzieci z naszego osiedla nie miały za wiele atrakcji. Podwórko na zamkniętym dziedzińcu, beton, beton, beton i trzepak, za sprawą którego zawsze było najwięcej porozbijanych głów i kolan. W deszczowe dni graliśmy w kapsle na klatce u grubej Jolki. Wybieraliśmy te wbite w piasek przy ławkach. Nie trzeba było zaklejać ich plasteliną. W każdym razie momentami było to nawet frapujące. Pewnego razu odkryliśmy jednak inną zabawę. Kamil, brat Andzi, przybiegł na czwarte piętro, krzycząc, że znalazł gołębia, że siedzi na dole u wejścia, że jakoś tak dziwnie, jakby mu co było. Zeszliśmy wszyscy. Faktycznie, gołąb siedział skulony przy drzwiach. Przez chwilę zastanawialiśmy się, co z nim zrobić. Andzia wzięła patyk. Szturchanie nic nie dało, ptak tylko napuszył

pióra, poterepał główką, ale nie zamierzał uciec. Wtedy chłopcy wpadli na pomysł, że nauczymy go latać. Maciek Słota, jako najodważniejszy, złapał gołębia, po czym wszyscy wbiegliśmy na czwarte. Kamil otworzył okno, Słota wyrzucił ptaka. Ptak, rozpaczliwie machając jednym skrzydłem, próbował unieść się w powietrze, ale nic z tego, spadał jak kamień. I tak dwa razy, góra-dół, góra-dół. Nie pomogło mu nawet to, że spadł na daszek nad wejściem. Chłopaki ściągnęli go miotłą. Trzeciego razu już nie było.

– I co, zabiliśmy go, tak szybko? – zapytał Maciek, trochę rozczarowany.

Nikt mu nie odpowiedział. Staliśmy jeszcze chwilę przed klatką nad martwym gołębiem. Wyglądał teraz na znacznie mniejszego. Miał otwarte oczy i lekko uchylony dziubek.

– Dostał zawału, pojeby! Nie widzieliście, jak się trząś?! – wykrzyczała Andzia.

– Weź, kurwa, pani doktor się znalazła, a sama biegałaś, jakby ci stary przyjechał.

– Ej, przestańcie no. Co się robi w takich sytuacjach? Trzeba mu chyba zrobić pogrzeb, nie? – odezwała się Wera od Rydzów.

Wszyscy zgodnie przytaknęli. Andzia poszła po pudełko. Po chwili ptak leżał na dnie niewielkiego kartonu. Ktoś nawet wyścieślił go suchymi liśćmi. Wera przyniosła połamaną łopatkę młodszej siostry i rozgrzebała trochę ziemi. To, co wystawało, przysypaliśmy piaskiem. Po wszystkim Kamil stwierdził, że pójdzie do domu nakarmić papugi, co od ojca na pamiątkę dostał, jak ten z zagranicy przyjechał, bo jakoś tak dziwnie mu teraz, i że nie wiedział, że tak się stanie. My zostaliśmy na dole.

Znowu nie było co robić.

Kamil był całkiem podobny do Andzi. Był między nimi tylko rok różnicy, choć Andżela, jako jedyna z całego rodzeństwa, chodziła do technikum. Kamil nie lubił szkoły, skończył z nią, gdy tylko wyszedł z podstawówki. Dzieci z klasy skarżyły się, że

ma wszy. Kilka razy był nawet sprawdzany pod kątem wszawicy przez higienistkę. Zawsze miał robale na głowie, za co matka go niewiarygodnie biła, mówiła, że to przez to, że nie wiadomo, gdzie się szlaja i z kim i domyc się nie potrafi. Ponoć nawet jakieś specjalne, drogie szampony ani golenie za wiele nie dawały. Raz pamiętam, jak w złości na to wszystko Kamil wsadził głowę do wiadra z bardzo gorącą wodą. Chodził potem z takimi czerwonymi płåtami, a jeszcze później z tych płåtów schodziła mu skóra. Rzeczywiście, to nawet na chwilę pomogło. Smarował się tylko maścią na oparzenia.

Matka Andzi i Kamila pracowała na targu Balcerka. Sprzedawała mięso w jednym z blaszaków. Kiedy zazwyczaj popołudniami siedzieliśmy na klatce, ona wracała z pracy. Wyczuwalny był od niej mocny zapach wędzonej kiełbasy i krwi. Zawsze też miała pod paznokciami smugi czerwonych zacieków i poplamione krwią buty. Chyba ich w ogóle nie przebierała. Najgorszy humor matka Andzi i Kamila miała we wtorki i piątki. Wtedy był ubój. Do blaszaka przywozili świeży towar. Mnóstwo wypakowywania i babraniny z układaniem, myciem lady, szyb i w ogóle. Zazwyczaj wtedy zostawała po godzinach, a kiedy wracała do domu i wchodziła do klatki, to już z dołu darła się, czy Kamil odrobił lekcje, czy jak zwykle się opierdala. Wtedy wiedzieliśmy, że był ubój. No i wtedy też, kiedy Kazik, drugi mąż grubej Jolki, szedł do mięsnego na Balcerka po serca wieprzowe dla psa Rejtana. Brał po półtora kilo dwa razy w tygodniu. To wszystko też tłumaczyło, dlaczego w kanapkach, jakie Andżela zabierała do szkoły, zawsze królował pasztet. Nikt nigdy nie widział, żeby przyniosła z czymś innym. Lubiała się za to zamieniać, jak ktoś miał z pomidorem czy jakimś serem. Ale najbardziej chyba, kiedy z dżemem. Raz jeden, jak zamieniła się ze Słotą śniadaniem i nie zjadła, bo urwaliśmy się wcześniej z lekcji, to zapomniała się i przyniosła zamienioną kanapkę do domu. Matka Andzi i Kamila, jak to zobaczyła, to wpadła w taki szal, że przez tydzień nie dawała jej jeść. Powiedziała Andzi, że

jest niewdzięcznym gnojem, skoro nie potrafi docenić jedzenia, jakie rodzic do domu przynosi, i za karę w ogóle nic nie dostanie. Przynosiliśmy jej wtedy wszyscy kanapki do szkoły. Jadła rano, a potem raz jeszcze po lekcjach, żeby wieczorem głodna nie była.

Wszystko się jednak zmieniło, kiedy dołączyła do nas Palcowa. Na imię jej było Aśka, ale każdy mówił Palcowa, bo nie miała trzech palców u prawej dłoni. Nikt nigdy nie dowiedział się, jak je straciła. Nikt też nie odważyłby się ją o to spytać. Palcowa była starsza od nas o trzy lata, paliła mocne i miała firmowe ciuchy. Nikt z nas, też długi czas potem, nie miał takich rzeczy. Palcowa była z Rotacyjnego, tak nazywaliśmy osiedle za rzeką, gdzie umieszczali rodziny na socjalnych lokalach, które nie płaciły opłat za mieszkania w centrum. Palcowa, jak na piętnastoletnią dziewczynę, była się nieprzeciętnie. Wchodziła w ustawki nawet z najsilniejszymi chłopakami. Nie przeszkadzało nikomu też to, że miała wybitą trójkę. Ona sama jakby czuła się z tym dobrze, uśmiechała się nawet szerzej niż wcześniej. W każdym razie, wszystko się zmieniło, kiedy Palcowa zaczęła przychodzić na czwarte. Zawsze po ustawce lubiła przypalić. Jej lufki były całe zasmolone, prawie że czarne. Kiedyś przyszła, gdy siedzieliśmy na klatce, i jak nigdy powiedziała, że się podzieli. Dotąd nie częstowała, mówiła tylko „nie dla kota spyrka, nie dla prosiąt miód”. A tu przyszła i sama zaoferowała, że da, tylko mamy nie konfidentować i jak spalimy, to nigdzie się nie ruszać ani nie łązić. Powiedziała, że dzisiaj daje i żeby się nie przyzwyczajając, bo zawsze tak nie będzie, a dzisiaj to tylko taki gest, bo jakieś dziwne trawsko dostała i sama nie może tego spalić, a chce się pozbyć i szybko nowe wziąć. Dokładnie tak mówiła, pamiętam.

Chłopaki się ucieszyli, nigdy nie próbowali wcześniej, a każdy chciał zobaczyć, jak to jest. Palcowa nabiła lufkę. Pokazała jak przyciągnąć i jak przytrzymać zanim się dyma wypuści. Lufka poszła w obieg. Najwięcej spalił Słota. Jak się dorwał, to oddać nie

chciał. Palcówa śmiała się tylko, że pali jak zaprawiony. Potem jak widziała, jak mu jest i że coraz gorzej, to zabrała wszystko, schowała i poszła. Powiedziała tylko, że mamy go pilnować, a ona już idzie do domu, bo ją ścięło. Zostaliśmy jeszcze chwilę, ale każdy też chciał wracać, jakoś zimno się zrobiło wtedy, pamiętam. Słota tylko siedział na schodach, objął się rękami i kołysał. Mówił dziwnie. O ojcu najwięcej, że chciałby cofnąć wszystko i się nie urodzić, bo pomimo że nas lubi, a my jego, to jednak to za mało, żeby tak chcieć dawać sobie radę ze wszystkim, co w domu i w szkole. Jak tak mówił i mówił, to już przestaliśmy słuchać i nawet się przejmować. Każdy wiedział, że Słota to niby odważny był, ale jakiś taki smutny w sumie. Zawsze przychodziły mu rzeczy, co żadne z nas o takich nie myślało, bo chyba to nie było wcale tak źle, jak jemu się wydawało. A może jednak było, tylko wtedy o tym nie myśleliśmy, nie wiem. Poszliśmy do domów. Matka moja akurat gotowała rosół. Tradycyjnie jak zawsze na kościach i jakiś tam jeszcze – spadach – jak nazywała części, które przynosiła z Balcerka od matki Andzi i Kamila. Drzwi od naszej korytarzo-kuchni były uchylone, zaczepione na metalowy łańcuszek. Musiało tak być, bo mieszkanie było niewielkie, a jak gotowała spady, to we wszystkich pokojach niewiarygodnie śmierdziało, bo kuchnia była ślepa, więc chociaż te półotwarte drzwi wyciągały mdławo-słodki odór. W pewnej chwili z klatki schodowej słychać było jakieś dziwne odgłosy. Ktoś zbiegał po schodach, ktoś coś krzyczał. Pomyślałam, że znowu pomylili klatki i że zaraz się zacznie, bo ojciec akurat był w domu.

Po chwili jednak, w uchylonej szparze przemknęła zbiegająca matka Słoty w samej bawełnianej halce i jednym klapku na nodze. Zbiegała po schodach dość szybko i chyba wtedy zgubiła buta, nie wiem. A zaraz za nią wyskoczył ojciec Maćka. Był znacznie wyższy od niej i większy też. Pokonywał schody na cztery kroki, bo schodził po trzy stopnie. Śmiał się nawet kiedyś z tego do

mojego ojca, że jak tak schodzi, to go mniej kolana bolą, choć dziwnie to wyglądało. Potem wszystko działo się bardzo szybko, nawet nie pamiętam kolejności i tego, kto pierwszy nam powiedział. Chyba Zdzisiek zza ściany dał znak, że na dole znowu coś się dzieje. Zeszliśmy. Czarny worek był już zapakowany. Maciej skoczył z czwartego. Później przez lata wyobrażałam sobie, że jak ten gołąb wtedy, musiał pewnie machać rękami i próbować się ratować. Po tym, co zrobił już nigdy tam nie siedzieliśmy. Zawsze tylko ktoś mówił, lepiej już chodźmy stąd. I szliśmy.

– Na ulicy bardzo nie lubię chodzić środkiem. Zawsze trzymam się blisko ściany, blisko budynku, z daleka od ulicy. Kiedyś, pamiętam, kolega dla żartu popchnął mnie pod autobus, kierowca wyhamował, ale strach był nie do wyrażenia, nie potrafiłam się nawet ruszyć, kiedy wybiegł z autobusu, ściągnął pasa i szedł w moją stronę, krzycząc, że zaraz sam mnie zabije, jeśli mi się tak żyć odechciało. Chyba myślał, że sama mu wyleciałam, a nie, że kolega mnie popchnął.

Wiesz, kiedy wychowywałeś się w takim miejscu jak tutaj, już zawsze to w tobie zostanie, żeby nie wiem jak się starać, zawsze będziesz obserwować ludzi, patrzeć im w twarz, śledzić gesty, ruchy, oglądać się za siebie, obserwować odbicia w witrynach. Z przejściem będziesz patrzeć na bezdomnych, na to jak spoglądają w niebo, jak wycierają nosy i odchrząkują, w jaki sposób drapią się po ciele, będzie ci to tak dobrze znane, że aż boli od samego patrzenia. Chcesz uciec, ale nie masz dokąd, nie możesz, za dużo tych scen w mieście, codziennie, wszędzie, w autobusie, pod sklepem, w parku, w drodze do domu, inni się przyzwyczajają, my nie. Być może większość twoich znajomych tego nie zauważa, ale ty tak, to, co widzisz wokół, czujesz też w sobie, w swoich myślach, pamięci, snach. Z tego się nie wyrasta, z tym się umiera. To zniekształca, ale też jakoś kształtuje. Choć pewnie prościej mają ci, co nie widzą i nie widzieli, prościej, bo łatwiej, jakoś

tak mi się wydaje, myśleć wtedy o jutrze, o dzieciach, robocie, rodzinie i sensie tego wszystkiego, co trzymasz na garbie dzień i noc, co często się przecież rwie, ale ty nie możesz zapobiec, bo takie jest twoje życie – powiedziała gruba Jolka, kiedy po latach spotkałyśmy się już zupełnie przypadkiem.

Miała częściową zaćmę, nie widziała na jedno oko, drugie w bardzo kiepskim stanie, lekko podbite, ale widać było, że to nowy siniec, stary nie zdążył jeszcze dobrze zżółknąć. Schudło jej się nawet bardzo. Otyłość dodawała jej charyzmy, sprawiała, że wszyscy myśleliśmy wtedy, że jej się powodzi. W sumie tak było. Gruba Jolka przecież zaradną kobietą była, jak mówił ojciec. Miesiąc później jej drugi mąż pochował ją na cmentarzu na Wilkowyi. Pogrzeb świecki zrobił, mówił, że do końca życia by go stara nawiedzała, gdyby księdza sprowadził. Choć na kolendę o dziwo przyjmowała, zawsze lubiła sobie z duchownym podyskutować. Ale sakramenty to ją nie obchodziły, śluby cywilne, dziecko nieochrzczone.

O tym co kształtuje i zniekształca // Monika Ochędowska

W opowieściach o dzieciństwie, których opadająca już (miejmy nadzieję!) fala nostalgii wyrzuciła przez ostatnie lata na nasz rynek wydawniczy dość sporo, odnajdujemy kilka charakterystycznych, powtarzalnych motywów: szkolne perypetie i szpetota osiedlowych podwórek, smak pierwszego bucha trawy, podbite nudą niedzielnych popołudni okrucieństwo, samobójcza i niespodziewana śmierć kumpla, który skoczył z dachu wieżowca czy okna kamienicy. Każda podwórkowa społeczność ma swojego dziwaka czy trickstera, czasem łobuza i rozrabiakę, często filozofa. Bywa, że jest on postacią tragiczną, choć wdzięcznie pozwala się portretować w poetyce naiwności. Każda społeczność ma swoje charakterystyczne legendy, plotki i tragedie. W każdej cierpią dzieci (z winy dorosłych) i zwierzęta (z powodu dzieci), a z opisów organizowanych naprędce amatorskich pogrzebów braci mniejszych mógłby powstać osobny tom prozy.

Podobny zestaw wątków i postaci proponuje zamieszczony tutaj tekst Presili Grzymek, mimowolnie demaskujący zbieżność zwyczajnych, rówieśniczych doświadczeń oraz pewien schematyzm budowania tego typu formacyjnych narracji. Opowieści o dzieciństwie to dorosłość *à rebours*. Próba objęcia na pozór niewinnym i naiwnym językiem doświadczenia straty, podłości, bólu. To naiwność łotrzykowska. Pozwalająca w rodzinnych awanturach czy sylwetkach okolicznych pijaków i cwaniaczków widzieć wydarzenia i postaci malownicze, groteskowe, wręcz rozkoszne. Oglądane okiem dorosłego zaczynają blednąć, więdnąć i ciężyć, opadać w mgłę melancholii. Wykreowane literacko spojrzenie dziecka widzi jednak świat w jego jaskrawości. Uprawomocnia wszelkie, nawet najbardziej nieprawdopodobne scenariusze.

Jest w tekście Grzymek dużo humoru wynikającego z rozpoznania i zdemaskowania tych scenariuszy następującego w procesie „dorosłej” (czytaj: odmitologizowującej) lektury. Narracja zostaje poprowadzona tak, by czytelnik stanął przez moment przed absurdalną w gruncie rzeczy zagadką (pierwsza z brzegu: dlaczego Benek wypadł z balkonu Grubej Jolki), której rozwiązanie jest jednocześnie dowcipne („niskiego przecież był wzrostu, a prania nigdy nie wieształ, bo i pralki nie miał”), jak i tragiczne (nie miał, bo mu „koledzy wynieśli”; „tak to jest, jak się za długo w zeszytcie figuruje w czerwonej tabelce”). Na tej podwójności, biegnących równolegle rytmach lektury, tego, co powiedziane wprost (po dziecięcemu) i tego, co zawoalowane (a co rozpoznaje dorosły), skonstruowany jest cały świat przedstawiony oraz wszystkie zdarzenia tej prozy. W podskakujących na ławce sąsiadach domyślamy się uprawiającej seks pary, a w mężach Grubej Jolki – samozwańczych, kontrolujących dzielnicę, komorników.

Bardziej niż w obrazie kombinuje się tutaj w języku. Grzymek naśladuje trochę miejskie pogawędki, ale jej język skonstruowany jest nie tyle z podsłuchanych rozmów, ile z wyobrażeń na temat oficjalnego, urzędowego żargonu i elementów szkolnego wypracowania. Trochę jakby jej narratorka próbowała opowiedzieć o sąsiedzkich rozróbach na szkolnej akademii, uzyskując dzięki temu niezamierzenie komiczny efekt. Wszystkie te językowe gry są dość intuicyjne i – trzeba to powiedzieć – skromne. Narracja ograniczająca się do prędkiego relacjonowania kolejnych zdarzeń odbiera, szczególnie wykreowanym w tej prozie ciekawym przestrzeniom, takim jak restauracja Lazurowa, szansę rzeczywistego zaistnienia jako „miejscom na miarę kultowej bohemy”.

Język Grzymek jest inkluzywny i egalitarny. Nie pozwala nikomu i niczemu wychynąć na dłużej ponad horyzont zdarzeń. Informuje w ten sposób o kondycji jego narratorki, która – nie ujawniając w żadnym miejscu własnych odczuć i emocji – nie przywiązuje

się do nikogo i niczego, pogodzona z płynnością i niepewnością zamieszkiwanego świata. Wyrazicielką prawdy pozostaje jedynie spotkana po latach Gruba Jolka – właścicielka meliny, ślepa na jedno oko filozofka władająca obcymi językami. Kto handluje ciężką gorzką żołądkową ma w końcu najlepszy wgląd w ludzką duszę.

Monika Ochędowska – komparatystka, redaktorka, publikuje w „Dwutygodniku” i „Tygodniku Powszechnym”